

ziemia

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY



POCZET ZNAMIENITSZYCH DIABŁÓW POLSKICH

NIESTETY
NIEKOMPLETNY

Minęły bowiem
czas, gdy
w każdej
wypróchniałej
wierzbie,
w każdym
starym piecu,
ba, nawet przy
każdym
człowieku
kłębiły się
szatany,
o których
znawcy twier-
dzili, że
jest ich
z prawej 1000,
zaś z lewej
10000.



Rys. J. Smólski

TEKST I RYSUNKI
JANUSZ
BOGDANOWSKI

Ziemia MAŁO KTO
ODWAŻYŁ SIĘ
O TYM NAPISAĆ

Miało być wszystkich diabłów, według jednych aż 10.000 bilionów, według innych znacznie mniej. Ks. Bohomolec na przykład szacuje ich liczbę skromnie bo „tylko” na 15 miliardów. W każdym razie cięba ich była straszliwa. Toteż lepiej było uważać na wszystko co tylko mogło naprowadzić szatanów na biednego plątającego się w ich tłumie śmiertelnika. Strzec się należało kobiety, tej „vas daemnonum” (naczynia diabelskiego), tańca, mienio-

nego „circulus cuius centrum est diabolus” (kręgu którego środkiem jest diabeł), a nawet na pozór niegroźnej melancholii, która zmienacka okazywała się „balneum diaboli” (łaźnią diabła). Biada zaś temu do kogo dobrały się szatany. Jako osoba duchowna mógł taki nieszczęśliwiec podzielić los opata Richolma. Mnichowi temu „...diabły wlażyły do brzucha, przyprowadziły go o mdłości i zawrót głowy, sprowadziły sen podczas nabożeństwa, same zaś chrapały, aby inni braciśzkowie sądzili, że to opat grzeszny chrapie w kościele... zatykały nos i gardło, tak by nie mógł westchnąć pobożnie, gryzły go jako pchły... Szelest szaty zakonnej był sykiem diabelskim; powietrze uiczym innym jak roztworem drobniutkich demonów...”¹

Jeśli opętany był osobą świecką, mógł go spotkać los wielokrotnie gorszy. I tak łaziebniaka z Poznania diabeł oknem wyrzucił i roztrzaskał o mur kościoła. Jednego mieszczanina krakowskiego schwytał, ciało mu w kłębek zwijał (!) i wciskał w najciaśniejsze dziury, rzucał po dachach i murach, aż rozbił na miazgę². Było to jednak niczym w porównaniu z tragedią Korczyna, gdzie diabły opętali pół miasta. Bernardyni miejscowi mieli wtedy moc pracy z ludźmi, którzy „wrzeszczeli i robili dziwy”³. Toteż strach przed szatanem był wielki i jak pisze Gołębiowski: „...ujawszy gromnicę palił lawnik z burmistrzem w rynku czarownicę. Chcąc jednak pierwszej dociec zupełnej pewności, plawił ją, na powrozie w stawie podstarości. Zdejmovaly uroki stare baby dziecku, skakał na pustej baszcie diabeł po niemiecku. Krzewiły się koltuny czarami nadane. Gadaly po francusku baby opętane. A czekając w krągankach, po miejscach cudownych, nabawiali patrzącym strachów niewymownych.”

Zdarzali się jednak i tacy, którym wieczne sprawy wraz z czartem i śmiercią były doskonale obojętne, o czym wymownie świadczy nagrobek z pogranicza polsko-ruskiego, wypisany na polnym glazie: „Tut Iwan Siemaszko leży. U nogach czorny sobaka tużył. U holowach fłaszka horyłki stoił. U rękach ostry miecz derżył. Ho, Ho, Ho, szczoż komu do toho?”

Alé moce pickielne i na takich ztwardziały znalazły radę. Gdzie nie pomogły zwykle wsiowe i miastowe diabły, różne jak podaje Tuwim: Latawce, Rozwody, Kozry, Gajdy, Bierki, Dyngusy, Kiczki, Fugasy, Przehery, Klekoty, Paskudy, Natanie i diabllice Wędy, Jędze, Ozorie, Chorzyce — tam musiała pomóc szatańska szlachta. Wtedy już sprawa była bardzo poważna. O tej właśnie pickielnej szlachcie staropolskiej będzie tu mowa.

Niestety materiały są dosyć skąpe, bowiem wraz z zanikiem szlachty i stroju polskiego, również diabły zmienili obyczaje i o tamtych dawnych rzadko już można usłyszeć. Toteż mimowoli stali się postaciami „zabytkowymi”. Długo trzeba czasem szukać, zanim



z przeszłości wyloni się postać herbowa, z karabelą, o własnym nazwisku i określonym terenie działania. Sposób powstawania takiego szatana podaje już Długosz. Od tego też, od opowieści o najstarszym bodaj „kontuszowym diable”, zaczyna się poczet.

Diabłem tym był Słupecki. Już za życia wszystko wskazywało, że imię Słupecki nie skończy swego żywota w normalny sposób, gdyż był to rzadki zdziereca i lotr. Nic więc dziwnego, że upodobał go sobie diabeł, wlażył wien 28 grudnia 1459 roku. Odtąd też poczał Słupeckiego nielitościwie dręczyć, że zaś miejsce snąc było wygodne, za pierwszym wlażył inne szatany i odtąd już nie jeden mizerny diabeł, ale cała ich horda poczęła się znęcać nad nieszczęsnym Słupeckim, któremu według słów Berwiń-



Drzeworył przedstawiający kary pickielne za pychę wg publikacji Klemensa Bolesława Włusza, Przeraziłwe Echo Trąby Ostatecznej, Kraków, 1799.

skiego (Studia o Guslach i czarach. Poznań 1862 str. 105 T. I.) „...djabli okrutnie członki ze stawów wylamywali i nielitościwie bili... słycać też było wrzaski bijących go djabłów, cięcia suchych razów, ale nikt, ani tych co wrzeszczeli, ani tych co bili nie widział”. Przerazone otoczenie wezwowało więc sławnego egzorcystę ks. Kazimerskiego z Chelma. Ale i ten nie mógł wiele zdziałać, gdyż diabeł wyjąc oświadczył, że jeżeli klecha będzie usłował go wyrzucić, to on zemści się na otoczeniu. Zeby zaś nie być gołosłownym „chłopcu posługującemu, którego... przydybał samego w pokoju, gdy ten w piecu podpałał... głowę daleko większą od drzewiczek, do pieca wpełchnął” zaś egzorcystę gnojem obrzucił.

Doszedł przeto ksiądz Kazimerski, do wniosku, że nie ma innej rady tylko Słupecki musi zwrócić wszystko co zagrabił. Z początku szlachcic się zgodził, ale gdy po obrachunku doszedł do tego, że nicy mu prawie nie zostało, zrezygnował z projektu. Zyl jeszcze w strasznym opętaniu lat 12, aż 18 marca 1471 zmarł nie oddawszy i pochowany został z wiatykiem w klasztorze dominikanów w Sandomierzu.

Nie wiedzieli biedni mnisi kogo przyjęli do swych grobów. Bowiem Słupecki zamieniony po śmierci w szatana zaczął szaleć „...ale tak okrutnie, że nocnych jego dokazywań, krzyków djabelskich, lomotów i strachów, nikt już w klasztorze wytrzymać nie mógł”. Bali się nawet zakonnicy po zmroku wychodzić ze swych cel. Diabeł zaś nie obawiał się samego przecora Mikołaja i gdy ten raz szedł ze świecą do sypialni, nagle w progu objawił mu się ognisty Słupecki strasznym głosem wlaając: „Mnichu, oddaj konia, któregoś zabrał na moim pogrzebie” (!). Zwykle zaś w płomienistej postaci pukał do zakrystii, odpowiadając na pytania: „Ja jestem Łukasz Słupecki...”

Ze zaś, jak mówi przysłowie „z jakim się wdajesz, takim się stajesz”, również przyjaciela Słupeckiego, Rogalińskiego zaczął nawiedzać zamek w Konarach, tłukąc się po nim pod postacią szlachcica w bogatym pasie i złotych butach.

Tu nadmienić trzeba, że byli i tacy, którzy już za życia zyskiwali przydomek „diabła”. Do nich właśnie należał Stadnicki, którego los naogół jest znany.

Innym diabłem tego rodzaju miał być kasztelan i senator, Stanisław Warszycki, postać niegdyś za Jana Kazimierza, sławna, uważana oficjalnie za „prymasa stanu świeckiego”, niemniej dla podanych straszna⁴.

Do niedawna jeszcze pamięć o Warszyckim była żywa w całej okolicy. Magnat ten iście kresowy, posiadał ogromny majątek sięgający według legend od Krakowa do Częstochowy. Tradycja głosi, że na tym obszarze, tylko jeden szlachcic miał swój dwór i wioskę. Warszycki tedy, zaprosił go do siebie, zaś wieś kazał potajemnie rozebrać i zaoarać. Biedny szlachcic nie mógł do domu trafić. Gdy się zorientował, Warszycki go hojnie nagroził, ale ziemi nie oddał. Zbudował też kasztelan „z diabelską pomocą” swój rodowy zamek w Dankowie (koło Krzepic), most i przemysł na Liswarcie, ale sprzeniewierzył się nawet diabłu, twierdząc, że kanał z tej rzeki, bez jego pomocy, przez górę przekopie siła poddanych. W swej diabelskiej działalności po śmierci występował jednak nie sam, a wespół z żoną i jej kochankiem, których razu pewnego zobaczywszy, wysadził w powietrze wraz z częścią zamku.

Warto zwrócić uwagę, że postać Warszyckiego (i całego szeregu innych diabłów szlacheckich), zbliża się do pojęcia widma pokutującego, o którym tutaj nie zamierzam pisać. Granica jednak między diabłem a duchem jest często w opowieściach dosyć płynna. Niemniej można ogólnie powiedzieć, że właściwe szatany omawianego tu rodzaju nie mają charakteru pokutników straszących i działających czasowo, a istot z gruntu złych, określanych przez lud mianem diabłów, działających stale, celowo i aktywnie, na szkodę człowieka.

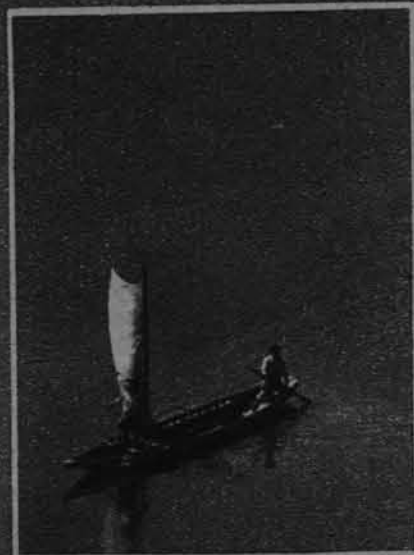
Posługując się tym kryterium wypadnie zaliczyć między duchy np.: szlachcica z Chelmców ukazującego się co piątek, rycerza z mieczem z Ogrodzieńca, czy Pieskowej Skaly, Kanonika z Łowicza chodzącego po katedrze w czarnych duchownych szatach, lecz bez krzyża, pochod biczowników z zamku w Pilicy, wreszcie bednarza z Kruszyny pobijającego nocą beczki w zamkowych lochach i wiele innych tego rodzaju postaci.

| | | |
|------------------------------------|--------------------------------------|----|
| JANUSZ BOGDANOWSKI | Poczet diabłów polskich | 2 |
| ZYGMUNT BROCKI | Gdy Wisłą płynęły | 5 |
| WŁADYSŁAW DULĘBA | Kłopoty ze sztuką ludową | 6 |
| MŁYNY | | 7 |
| WOJCIECH JAROSZEWSKI | Rosnąca wyspa | 8 |
| JAN BENDA | O polskim stroju wojskowym | 10 |
| ZBIGNIEW JASIEWICZ | W wielkopolskich kuźniach | 12 |
| TADEUSZ ŻYCHIEWICZ | Zagadka synagogi | 14 |
| JÓZEF T. FRAZIK | Łączna | 18 |
| TADEUSZ PASIKOWSKI | Najpiękniejszy zakątek | 20 |
| ORLI LOT | | 22 |
| DAWNE DRUKI | | 24 |
| SKARBCEZYK NUMIZMATYCZNY | | 25 |
| KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ | | 28 |
| KRONIKA KRAJOZNAWCZA | | 31 |

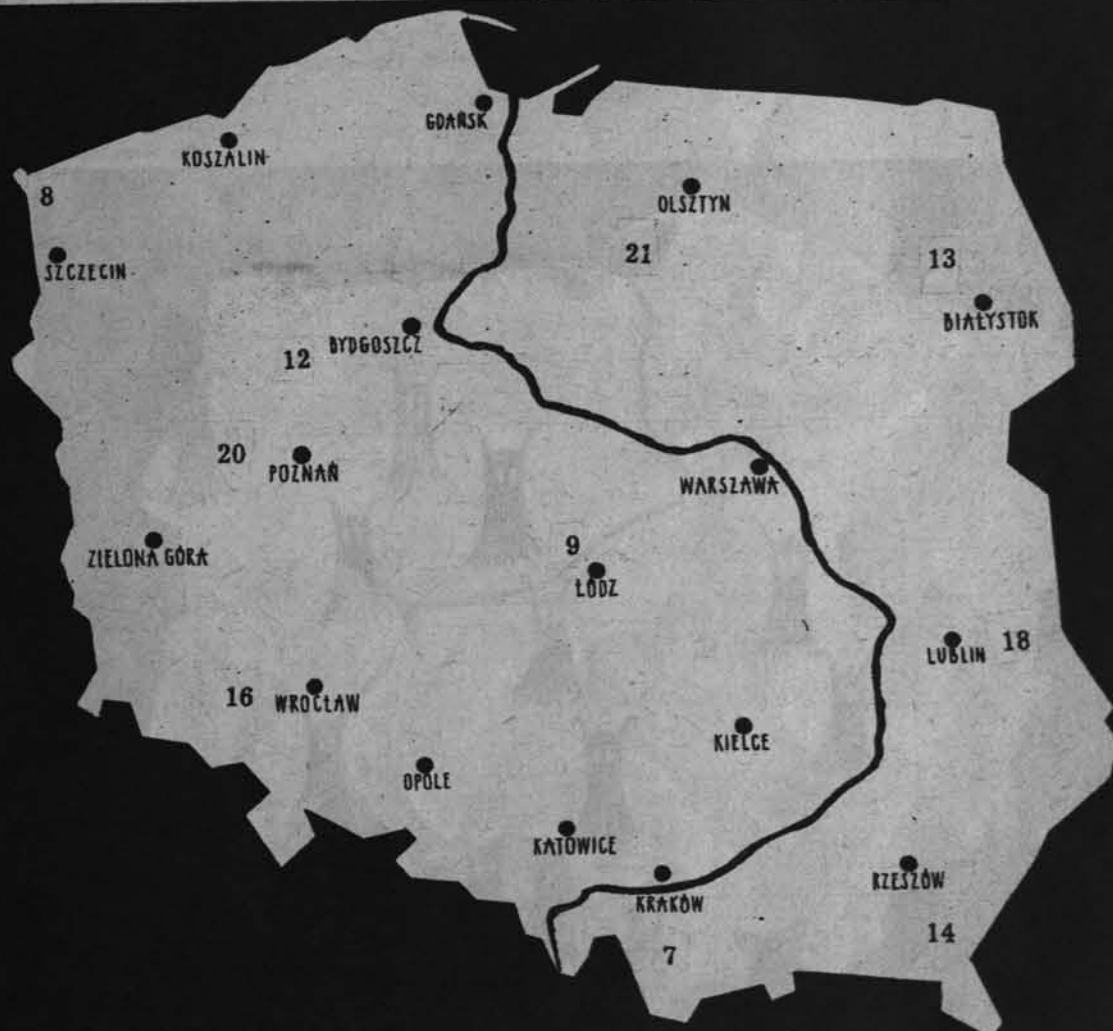
Liczby na mapie oznaczają numery stron, na których piszemy o danej okolicy

NASZA OKŁADKA

przedstawia współczesną łódź używaną przez łodiarzy na Wiśle. D staropolskiej łagudze widać przyczynię na str. 6. Fot. Janusz Czecz.



ziemia — kwartalnik miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Prowadzący Komitet Redakcyjny — MAREK SUCHELEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, red. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red. działów — LESZEK DŁUGIŚ I MARIAN SZYCHALSKI. Adres redakcji — Kraków, Basztowa 6, tel. 54-54. Wydawca: POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE, Redakcja: PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smolenski 14, tel. 59-76. Zam. — 41/52 5-61. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych.

Cena prenumeraty: kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100024. Cena tej prenumera-

ty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPZEDNIE NUMERY ZIEMI

można nabywać we Wzorcowni Państwowego Wydawnictwa Naukowego w Warszawie, Miodowa 10, a także w sklepach prasy antykwarycznej „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie pod tymi adresami lub w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej

ROCZNIKI ZIEMI

za rok 1957 można nabywać w redakcji, Kraków, Basztowa 6, lub zamawiać listownie pod tym adresem. Wysyłka w kolejności zgłoszeń za pobraniem pocztowym. Cena rocznika osobno oprawnego 100 zł + porto, nieoprawnego — 80 zł + porto

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”; zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii — £ 0,23, rocznie 1.8.9; we Francji — Fr. 105, rocznie 1390, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — £ A 0,27, rocznie 1. 10.7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miastkich i gorodskich Otdielach Sojuzplecziati” NRD — Zeitungsver-

triebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. I, Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II/Doly tr. Calow, Armady, 3) PZKO C. Tesin Gotvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haflepac”, Haifa, Ariosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Littéraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyne, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Belleview Drive, Falls Church 1, Virginia.

DIABŁY

Natomiast jako klasyczny przykład „szlacheckiego diabła“ posłużyć może powszechnie znany Boruta z Łęczycy.

O jego wyglądzie różne przekazały się wiadomości, czasem przybierał postać kozła, kaczoza, sowy to znowu bernardyna, a nawet szklarza i pruskiego „Regierungsrata“. Jednak typową jego osobą była postać szlachcica w kontuszu, żupanie karmazynowym, rogatywce z barankiem, spod której widać było niewielkie rogi i spiczaste uszy. Boruta nosił także szablę, która miał krzyżyka, przy rękojeści, posiadała „pogański półksiężyc“. Działal Boruta głównie wśród lasów i bagien łęczyckich, a ze szczególnym umiłowaniem pastwił się nie tyle nad chłopami ile nad „piskorzami“ — miejscową szlachtą. Jeśli trafił mu się jakiś pijanica, to wnet wywoził go na manowce, a gdy nieszczęśnik tocił się w błocie Boruta, „śmiał się całą gębą i klaskał w ogromne łapy radośnie“, a gdy miał gorszy humor to i łeb ukręcił. Stąd poszło przekleństwo „bodać cię Boruta popieścić“ (lub zadusił). Miał też on swe mieszkanie w łożach

Jak widać w swej działalności Boruta niepozabawiony był fantazji i swoistego „humoru“.

Aby pozbyć się trapiącego ją Boruty, szlachta urządziła na niego polowania ganiając z szablami i pistoletami po łęczyckich mokradłach — niestety bezskutecznie. Czasem tylko ofiarą takich łowów padał Bogu ducha winien człowiek. Raz przytrafiło się to szklarzowi, drugi pruskiemu „Regierungsratowi“. Ten ostani zresztą został zabity miast Boruty, kłonią przez chłopów. Prusacy więc dla porządku ogłosili że „...osoby w stroju niekrajowym (!), w czarnych do kolan majtkach... jedwabnych pończochach... nie są diabłami, borutami, biesami, ale urzędnikami niemieckimi...“

Takimi napół wesołymi diabłami szlacheckimi, przypominającymi chłopskiego Rokitę byli: „Diabeł ze Skłęczek“ (Gostyńskie), który jak mówi Adam Amilkar Kosiński „...jeździł na koźle w postaci tłustego szlachcica bez głowy“, i Kurejko⁸ działający na Podlasiu (w Łosicach). Ten

ściwie smaga myśliwych, gdy który podpadnie mu pod rękę.“⁹

Podobny do niego jest „Przeklęty Łowiec, albo Diabeł Myszyniecki“. Trapi myśliwych zwodząc ze stanowisk lub gubiąc w puszczy... wypra-



Diabeł Słupecki

wia od czasu do czasu swe przeklęte łowy. „Kurpiowie... słyszeli (go) polującego. Straszne rzeczy wtedy dzieją się w puszczy, tysiące psów goni za

niemiecku, turecku, ludzie, małpy, tygrysy (!) nietoperze, sowy, lub kościotrupy“. Przerażony Grzegorz błagał „Wielmożnego Diabła“ o litość. Ten powiedział, że puści go, ale pod warunkiem, że zawiadomi o całym wypadku pruską „Rejencję“ nie wierzącą w istnienie „Przeklętego Łowcy“. Łowy takie odbywały się zawsze przed wielkimi wypadkami, były więc w 1791, 1794, 1806 i 1812.

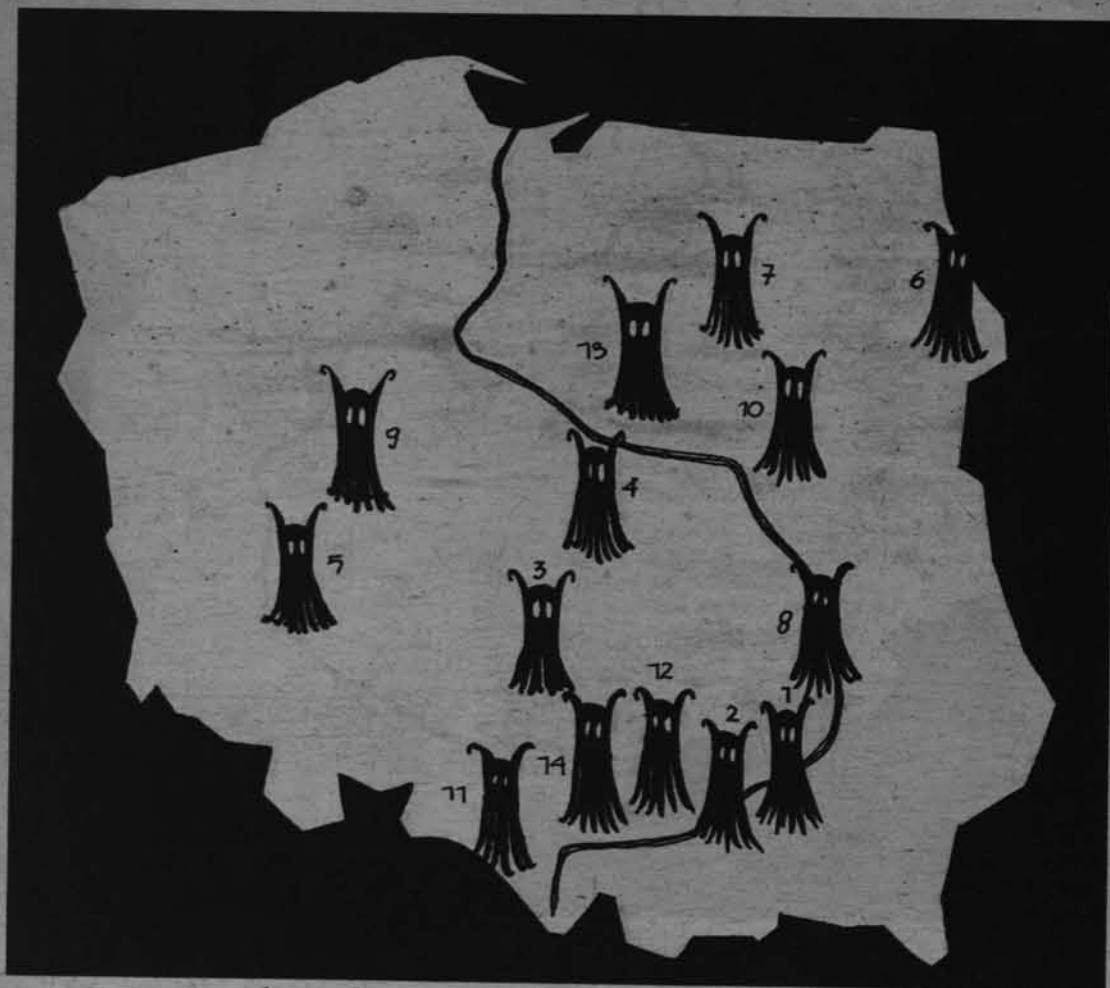
Wreszcie seria typowych diabłów szlacheckich.

A więc „Diabeł Wenecki“, od którego poszło powiedzenie „wygląda jak diabeł wenecki“ lub „półdiabeł wenecki“. Nazwa ta nie wywodzi się wcale, jak mylnie czasem tłumaczono, od Weneccji, ale od nazwiska niesprawiedliwego sędziego poznańskiego imci Weneckiego, z czasów Ludwika Węgierskiego i Jagielly. Już zresztą za życia posiadał Wenecki swój przydomek diabła.

Podobnie diabłem mieniono pana Borejszę za Augusta II, który będąc pułkownikiem partii Leszczyńskiego niszczył Płockie i Mazowsze budując w jedną noc, jak mówi Kosiński (str. 317) szafce zwane jego imieniem pod Proboszczewem i Granowem (koło Pultuska). Tak samo jak Borejsza również Kosiński rodem z Podlasia, konfederat barski, stryjeczny brat ruskiego czorta Kuźmy, grasował w lasach gliwickich. Obaj zamienieni po śmierci w diabły harcowali na tych samych terenach co za życia.

Innego rodzaju tajemniczą postacią pochodzącą wprost z samych piekieł był hrabia Manteufel, zjawiający się specjalnie po najbardziej zagorzałych grzeszników. Piszę o nim zarówno Tuwim jak i Kosiński, który podaje na przykład, że za Augusta II pojawił się Manteufel pod Miechowem, po Wojewodzica L. (nazwiska nie ujawnia). „Zajechała przed jego pałac ogromna karoca, od sześciu koni ciągnięta, a otoczona służbą. Karoca była czarno malowana, konie czarne, służba wszystka czarno ubrana“. Wreszcie i sam hrabia „...czarny kontusz, żupan płomienistego koloru i pas jedwabny, turecki w pręgi czarnozółte“ (kolor austriacki). Ten to Manteufel w trakcie polowania porwał Wojewodzica, zostawiając po sobie tylko wypaloną ziemię i znak pioruna na dębie.

Słynny łęczycki diabeł Boruta



Mapa rozszedlenia znamienitszych diabłów staropolskich. 1. Słupecki-Sandomierz, 2. Rogaliński-Konary, 3. Warszucki-Danków, 4. Boruta-Łęczycyca, 5. Diabeł ze Skłęczek-Skłęczki, 6. Kurejko-Podlasie, 7. Przeklęty Łowiec-Myszyniec, 8. Waligóra-Góry Świętokrzyskie, 9. Wenecki-Poznań, 10. Borejsza-Pultuskie, 11. Kosiński-Gliwickie, 12. Manteufel-Miechowskie, 13. Jeździec Kobylnicki-Płockie, 14. Zaręba-Wideradz (Olkuskie).

łęczyckiego zamku, gdzie raczył się węgrzynem siadując na beczkach złota, a gdy mu przyszła ochota pojawiał się w okolicy na zabawach i nie gardził pojedynkami na szable. Nie należy go mylić z Siwym-Borutą, szlachcicem, przewanym tak dla swej zręczności w walce i siwego kontusza. Ten to Siwy Boruta zwykł był przepijać pierwszy kielich do Boruty prawdziwego, na co tajemniczy głos z pod podłogi odpowiadał „Dziękuję Waszności“.

ostatni, podobnie jak za życia zajmował się raczej nieszkodliwymi kawalami, udawał koguta piejąc, świstał i tańczył.

Zupełnie inny rodzaj reprezentują dwa inne diabły mające charakter złych leśnych duchów. Pierwszy to Waligóra z Gór Świętokrzyskich polujący i trąbiący po puszczy „...zwyczajnie na Górze Jeleniej obok Łysej... jest to olbrzym na 10 łokci wysoki, podpierający się jak Herkules sosienką z korzeniami wyrwaną, a nielito-

zwierzem, brzmia trąby i wystrzały rusznic, wrzawa jakby sądnym dniem sprawiona rozlega się na kilka mil w okęg, a biada temu, kto z umysłu lub przypadku dostanie się w odmet owej łowieckiej zgrai“.

W roku 1806, na dwa dni przed św. Janem widział Diabła Myszynieckiego Grzegorz Bąk. Patrzy on „...Aż na czarnym koniu, czarno ubrany, śniadej twarzy, olbrzymiego wzrostu pędzi myśliwiec. Przy nim gromada służby po



Diabeł Kurejko z ruskiego pogranicza

Również posępną postacią był Jeździec Kobylnicki (pod Płockiem), czarno ubrany, harcujący konno, buchając ogniem. Zwiastował śmierć. Za życia, w czasach Batorego, pełnił funkcję starosty i już wtedy odznaczał się „dzikością charakteru”. Po śmierci został diabłem.

Zbliżony wyglądem do niego Diabeł Wideradzki zwany Zarebą ponoć za życia „hetman rycerstwa i kasztelan” żył około 1400—1450.¹⁰ Jak straszna to była postać świadczy fakt, że w całej okolicy w czasie suplikacji śpiewano jeszcze niedawno: „Od powietrza, od głodu, ognia, wojny i od Wideradza — zachowaj nas Panie”. Zareba zwykł jeździć na czarnym koniu w czarnym kontuszu i zupanie. W działalności upodabiał się nieco do Boruty „...połując na pijanych,

tym bowiem nadewszystko dokucza, nurza w błocie, topi w rzece, lub wieszka na suchych wierzbach (!)”.
Tenże to Zareba sprawił że (jak pisze C. Leonowicz): „Pan Marek na Wideradzu był kasztelanem w Sieradzu, a że nie opłacał slugi Diabeł go porwał za długi”. Stało się to zaś dlatego że Pan Marek nieopatrznie zawołał: „Hej czempredziej dajcie wina, póki staje Olewina. Niech diabeł porwie mą duszę, jeśli garnca nie wysuszę.”

Skorzystał z tego Zareba i porwijąc kasztelana stwierdził: „Także to Pan z Olewina wysuszył dziś garniec wina. Za to na wieki z holotą zlopać odtąd będzie błoto”.

Na tym kończy się poczet diabłów szlacheckich o których wieści udało się odszukać. Jest ich napewno znacznie więcej, może więc ten „zbiór” zachęci do wyszukania innych, zapomnianych dziś już, kontuszowych szatanów. Szkoda bowiem, by ten tak bujny i bogaty motyw fantazji ludu i dawnych wieków zagał. Nie mówiąc o tym, że opowieści te przeciętą tajemniczością i legendą ożywiają fragmenty krajobrazu, wnętrza lasów, a szczególnie stare budowle, które zresztą nierzadko właśnie owym pikielnym postaciom zawdzięczają to, że jeszcze istnieją.

Gdyby zaś ktoś bał się przebywać w „nawiedzonych budowli”, ten niech zastosuje metodę zalecaną przeciw diabłom przez Adama Amilkara Kosińskiego. Szatana bowiem niekoniecznie trzeba odpędzać wodą święconą, modlitwą, „czartopłochem” lub strzelaniem srebrnymi świeczkami, ale „...Również nie znosi on, gdy mu czytasz niektóre z naszych literackich utworów, tak na przykład pełny talentu poeta śp. Jaxa Marcinkowski uwolnił od diabła Pałac Ordynacji (w Warszawie), czytając strzegącemu go diabłu jedną ze swych tragedii. Już za drugim aktem szatan zretirował się do piekła.

Przy obecnym rozwoju literatury masa dzieł może zastąpić prace Pana Marcinkowskiego. W ogóle szatan nie znosi rozpraw filozoficznych opartych na systemie Hegla, badań dotyczących Słowiańszczyzny przedchrześcijańskiej, powieści i romansów... i te jeżeli go nie zdołają odpędzić to przynajmniej usypiają”.



Diabeł ze Skłęczek

PRZYPISY

1. Za starą kroniką niemiecką wspomina o patrze Richolmie z wileńskiego klasztoru Julian Tuwim w Czary i czarty polskie. Warszawa 1924 str. 5.
2. Obie te wzmianki pochodzą z Łukaszewicza Obraz..., str. 222 i Reszki S. De atheisim. Neapol 1596 str. 544, zamieszka Tuwim.
3. Smoleński J. Przewrót umysłowy w Polsce w XVIII wieku. Kraków 1891 str. 15.

Złowrogi diabeł wideradzki, Zareba.

4. Kamień ten leżał pod Nowogródkiem na kraju lasu. Ponieważ zaciekał wszystkich, w końcu podniesiono go i stwierdzono, że zgodnie z napisem leży pod nim człowiek, pies, szabla i flasza wódki. Tę ostatnią użyto zgodnie z przeznaczeniem.

5. Mówi o tym Kolberg O. Lud. Radomskie. Kraków 1897, str. 281.

6. O Kasztelanie Warszyckim zachowały się bardzo sprzeczne wiadomości. Według jednych współczesnych był uznania godnym człowiekiem (Kochowski W. wyd. Raczyńskiego. Ponożenie Jana Kazimierza. Poznań 1858) według innych współczesnych (K. Verduma, patrz K. Linke Cudzoziemcy w Polsce. Lwów 1876 str. 29) i powieści ludowych (Kosiński, Kolberg) panem o niezwykle ciężkiej ręce.

7. Stosunkowo najczęściej zachowało się właśnie o nim wiadomości. Pisze o tym Kolberg O. Lud. Łęczyckie. Kraków 1889 str. 258, Kosiński A. A. Miasta wsi i zamki polskie. Wilno 1851 str. 294, 292, 313, Zamorski R. Podania i baśnie ludu. Warszawa 1955 str. 35, oraz wiele innych książek i czasopism.

8. Gołębiowski L. Lud polski. Lwów 1884, str. 82.

9. Do diabłów zalicza go zarówno Gołębiowski (str. 296) jak Kosiński (str. 296).

10. Kosiński str. 283, 292, 313. W przeciwieństwie do niego Kolberg (Kaliszkie. Kraków 1896 str. 223), nadaje mu postać konia skrzydlatego, poza tym sława i działalność pozostaje bez zmian.

K O N I E C



GDY WISŁĄ PŁYNEŁY KOZY I BYKI

ZYGMUNT BROCKI

Wisła, przecinająca całą Polskę z południa na północ, od Karpat aż po Bałtyk, już w średniowieczu była ważną drogą transportową. Znaczenie gospodarcze tego szlaku było wielkie i w dawnej Polsce zawsze doceniane.

W początkowym okresie polskiej żeglugi rzecznej, mniej więcej do drugiej połowy XIII wieku, należała ona do książy i była ich wyłącznym prawem, podobnie jak rybołówstwo, handel czy zakładanie i użytkowanie portów. Gdy się wykształcił nowy stan — mieszczaństwo, przejmując na inicjatywę żeglugi i handlu wiślanego. Rozwój gospodarstwa folwarcznego na czoło życia politycznego i gospodarczego państwa wysunął z kolei szlachtę. W wieku XVI w drodze konstytucji sejmowych usuwa ona mieszczań z żeglugi i handlu, uzyskuje zwolnienie od cel (już od roku 1496) i różne inne przywileje dotyczące żeglugi i handlu na rzekach.

Równocześnie ze staraniem o wolną od cel i wyłącznie dla siebie zagwarantowaną żeglugę wiślaną szlachta przejmując inicjatywę w zakresie stanu żeglownego rzek. Od roku 1496 uzyskuje ona liczne statuty nakazujące zniszczenie na żeglownych rzekach młynów, jazów, grobli i innych urządzeń, stanowiących przeszkodę dla żeglugi, za których otwarcie pobierano opłaty. Zdarzały się tu jednak wyjątki, jak na przykład na Wieprzu. Uchwała sejmowa z roku 1589 mówiła w tym względzie:

„Rzeka Wieprz acz ma być wedle statutów i konstytucji wolna od wszystkich grobel i jazów, jednak, za prośbą tych, którzy młyny na tej rzece mają, pozwalamy aby każdy czyj młyn jest powinien był instrumenty, powozy, i inne potrzeby do tego należące mieć i [statki] bez wszelakiej szkody i trudności przeprowadzić przez te groble w górę i na dół idące, wyjąwszy z tej powinności i obowiązku młyny do Kochiego imienia należące, na których jednak śluz [być musi] rządnie naprawione, a to pod winą sta grzywnien”.

Ostatecznie zasadę pełnej nieskrępowanej żeglugi na rzekach spławnych, czyli portowych, ogłosiła konstytucja z roku 1598.

Ustanawiano też opłaty na pogłębianie szlaków żeglownych. Na przykład z konstytucji z roku 1589 odnoszącej się do Wisłoki dowiadujemy się, że uchwalono, aby na pokrycie kosztów wyczyszczenia koryta tej rzeki „każdy kto będzie spuszczał zboże wszelakie i inne rzeczy tą rzeką, powinien dać w karczmie rzeszowskiej celnikowi należnemu od szkuty zboża wszelakiego, popiołu, mąki — złotych cztery, od półszkuta i lichtana — kopę, od lichtana mniejszego — złoty, także od każdej trafty, od klepek, wancosu¹ i innych towarów”.

Porty i przystanie

Na Wiśle i jej spławnych dopływach za czasów dawnej Rzeczypospolitej pracowała duża liczba przystani; w południowej i środkowej Polsce zwaly się one palami. Urządzenie ich było prawdopodobnie proste: u brzegu rzeki, chyba umocnionego, wbite były pale, do których cumowano statki. Na brzegu znajdowały się warsztaty szkutnicze, gdzie budowano lub remontowano statki, szopy do przechowywania sprzętu żeglarskiego, no i spichlerze na towary spławiane rzeką.

Fot. E. Falkowski

Mniejsze miasteczka nadrzeczne pełniły funkcje stacji spławu, większe, szczególnie miasta nadwiślańskie były już portami w pełnym tego słowa znaczeniu. Dzięki transportowi rzeczniczemu, dzięki przeladunkowi, rozwijały się takie miasta portowe jak Sandomierz, Kazimierz Dolny, Stężyca, Warszawa, Zakroczym, Płock, Włocławek przy ujściu w głąb Kujaw sięgającej spławnej Zgłowiączki, Nieszawa, Toruń i inne miasta nad dolną Wisłą, Bydgoszcz nad Brdą, Krzeszów i Sieniawa nad Sanem, Drohiczyn nad Bugiem, Łowicz nad Bzurą ze spichlerzami w Kamionie, a potem w Piczyskach poniżej ujścia nad Wisłą, Tykocin, Łom-

Tu np. kupcy włoscy kupowali zboże i tu zawierali umowy o jego transport do krajów zamorskich, Wisłą z przeladunkiem na okręty w Gdańsku.

Z każdej przystani wychodził corocznie jeden lub kilka, a z portów kilkanaście, lub nawet — jak np. z Kazimierza — kilkadziesiąt transportów do Gdańska, zabierając to co wyprodukowały ziemie wzdłuż Wisły i jej dopływów leżące: różne zboża, płótna i przędzę, „towary leśne” (sałetra, wosk, potaż itd.), skóry, produkty spożywcze (slonina, masło, miód, kmin itd.) — lista towarów przewożonych Wisłą była długa, szczególnie tych, które spławiano do Gdańska, „w handlach od czasu

z końca XVI lub początku XVII wieku: *Rozkoszna Wisła, ty nam Polskę zdobiesz, Przez kilkadziesiąt lat pilnie na nią robisz. Jak jedno lodu pogina ostatki, Wnet cię okryją rozmaite statki. Wyjadą czołny, wyjadą i łodzie, Kozy i byki idą po twej wodzie; Idą półszkutki, idzie drzewo srogie, Idą homięgi, w nich towary drogie. Siarka, sałetra, ołów miedź i glita. Od nich do skarbu idą wielkie myta. A nad to wszystko idzie sól obfita, której w pótrowach wszystka Polska syta. Idą i szkuty napelnione zbożem rozmaitemo do samego morza. Więc z puszczy litewskich wanczosi, popioły, Konopi, klepek, pełne statki smoły.*

tów i komiářczkami — te mogły zabrać najwyżej 1 laszt. Statki te służyły do jednorazowego użycia. Po wyładowaniu towaru sprzedawano je na drewno w miejscu wyładunku.

Dużym statkiem był również... byk: największe z byków niosły nawet do 40 lasztów, przy 18 ludziach załogi. Byki używane były głównie do spławu soli wielickiej do Warszawy i Płocka, skąd znów spławiano na nich zboże do Gdańska. Lekka konstrukcja byków, tak jak i komięg, nie pozwalała na użycie ich do żeglugi pod prąd, czyli w górę Wisły.

Nieco mniejszym był idący głównie z ruskich okolic, Sanem i Bugiem, żaglowo-wiosłowy dubas, zwany też niekiedy d l u b a s e m, o pionowo ściętym zadzie czyli *calu*, jak flisowie nazywają rufę. Dubasy zabierały do 20 lasztów, średnio 12—15 lasztów. Liczba wiosel wynosiła 8—16, liczba załogi — średnio 8—14 ludzi.

Szkuta komięga i dubas stanowiły właściwą grupę statków transportowych używanych do dalekich podróży.

Do grupy statków większych zaliczał się również galary, podobny do morskiej galery, ze zadem i *sztabą* (tak flisowie nazywali dziób; nazywali go też *nosem*, *brodą*, *czołem*) nieco ku górze wzniesionymi. Jego załogę stanowiło 5—10 ludzi.

Mniejsze galary to baty, lichtany i lyżwy. Były to stateczki pomocnicze: używano ich przy ładowaniu szkut i innych większych statków oraz do przeladowywania towarów w wypadku, gdy duży statek wszedł na mieliznę; należało wówczas statkowi ulżyć, aby mógł on zejść z przeszkody. Czynność ta nazywała się *lichtowaniem* (i tak, lub *lichtugowaniem*, nazywa się tę czynność i dzisiaj; również i w żegludze morskiej). Do tego celu służyły przede wszystkim lichtany; brały one do 3 lasztów. Na-



Port w Gdańsku. Widok wg XVIII-wiecznego rysunku Lohrmanna.

Kupcy w Gdańsku

za i Pultusk nad Narwią, porty przeladunku kamienia jak Pińczów nad Nidą czy Kunów nad Kamienną, porty przeladunku soli jak Uście Solne pracujące na potrzeby Bochni, itd. Przeprowadzony w roku 1598 inwentarz we Włocławku notuje tu 28 spichlerzy. W Kazimierzu Dolnym około roku 1683 było, wzdłuż Wisły i w górę rzeczki Grodarz 25 spichlerzy murowanych, rozmiarami mniejszych tylko od spichlerzy gdańskich. Były to budowle dwutraktowe o 2—3 kondygnacjach. Podobne były też spichlerze Sandomierza i Warszawy, licznie budowane na prawym brzegu Wisły zwłaszcza od końca XVI wieku. Port w Kazimierzu był jednym z największych portów śródlądowych w Polsce. Oprócz spichlerzów miał on i inne urządzenia portowe. Np. do dziś zachowana gotycka baszta strażnicza pełniła tu jednocześnie rolę latarni nawigacyjnej. Kazimierz był zresztą nie tylko portem przeladunkowym ale także ważnym ośrodkiem handlowym, w którym mieli swe kantory nawet kupcy zagraniczni.

dawnego miasta sławnego”, jak port ten określił Adam Jarszński. On to opisuje w pierwszej połowie XVII wieku nadwiślańską ulicę do Przewozu (dzisiejsza Bugaj) w Warszawie. W obrotach wewnętrznym Wisłą przewożono nawet całe kamienne elementy architektoniczne do wielkich budowli, grobowce itd. Wisłą z pińczowskich zakładów kamienniarstwa przewieziono np. elementy kaplicy NMPanny wystawionej w roku 1610 przez biskupa Tarnawskiego w katedrze we Włocławku; w aktach tamtejszych kapituły pod rokiem 1604 czytamy, że biskup „przygotował już część marmurów i kamienia ciosanego tak, że czeka tylko na czas sposobny aby mógł te i inne przygotowane materiały zwieźć wodą”.

Plyna „kozy” i „byki”

Niektóre towary transportowane Wisłą wymienia nam miejski Bałtyzer z kaliskiego powiatu, bliżej nieznanego poeta plebejski, w wierszu gdzie

„Mamy tu — jak widzimy — również przegląd statków używanych w ówczesnej żegludze wiślanej. Przyjrzyjmy się im nieco bliżej.

Największym statkiem wiślanym była zawsze szkuta, statek żaglowo-wiosłowy, długości do 33 m, szerokości do 7 m, dzięki swej silnej budowie używany nieraz także do przybrzeżnej żeglugi morskiej. Nośność szkut była różna, od 20 do 55 lasztów (1 laszt — około 2 tony). Oprócz masztu z żaglem szkuta miała do 20 wiosel. Załoga wynosiła średnio 16—20 ludzi. Obok wielkich szkut w użyciu były także mniejsze, zwane półszkutami lub półszkuteczkami.

Innym dużym statkiem, lecz już mniejszym od szkuty, była nieżaglowa komięga, o charakterystycznym kształcie czworoboku. Nośność komięgi wynosiła 15—18 lasztów, choć dochodziła nieraz nawet do 35 lasztów. Liczba wiosel wynosiła 7—9 przy 8—12 ludziach załogi. Komięgi mniejszych rozmiarów nazywały się komiářkami — zabierały do 3 laszt-



C. D. NA STRONIE 26

WŁADYSŁAW DULEBA

KŁOPOTY ZE SZTUKĄ LUDOWĄ

— Jeździł pan po Polsce i zbierał wiadomości o polskiej sztuce ludowej — mówi redaktor „Ziemi” — niech pan nam opisz swoje spostrzeżenia.

— Jeździłem — prawda, zbierałem wiadomości i fotografie — też prawda. Jeździłem prawie po całej Polsce. Było to jednak przeszło dwa lata temu. Spostrzeżenia moje są już zapewne w wielu punktach nieaktualne. Toteż jeżeli ktoś z łaskawych Czytelników uzna je za zdezaktualizowane, lub może za nieprzemyślane, wyszane z palca czy zgoła wszeteczne, temu za uwagi polemiczne z góry pięknie dzięki składam. A więc gdzie byłem i co widziałem? Zaczniemy od Północy, a potem na wyrywki dookoła.

Kurpie. Wioska Tatary koło Kadzi-

dla. Trzy kilometry piachu od gołębca. Rowem ani autem dojechać nie sposób. Trudy pięszego marszu wynagradzają pięknie widoki czystego dla mieszkańca południowej Polski krajobrazu. W „puszczy”, rzadkim lesie sosnowym rosnące drewniane zabudowania, wszystkie utrzymane w jednolitym stylu. Nie ma budynków murowanych, nie ma tych plam brzydoty, jakie wnosi w krajobraz początkująca w naszych wsiach cywilizacja. Szukam zagrody Konopków. Zagady wani chłopcy pytają mnie w zamian, czy nie kupiłbym od nich wycinanek. Bo pocóż mógłbym przyjechać do mnie ze swoich wyrobów rodziny Konopków?

Nie, nie przyjechałem na zakupy. U

Konopków pracą wre. Wykazują właśnie zamówiona na Festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie partię kilku, czy nawet kilkunastu tysięcy wycinanek. Zamówienie szybkie, Komitet organizacyjny podał ilość i wymiary wycinanek. Mają być naklejane na pocztówki. Babka, trzy córki, nawet wnuczka, całym dniami ciachają, machają, składają z sobą po dwa papiery (czego dotąd nigdy nie robili!) Mimo to wychodzą spod ich topornych nożyc piękne wycinanki. Ale czy tak dawane zamówienia przyczyniają się do rozwoju ich sztuki?

Maria Konopkowa, matka roku, zna się nie tylko na wycinankach. Lepi z ciasta i wypieka piękne biszkioty, jełochy i kuszki. Południe w całej okolicy



Fot. S. Deptuszewski

OSTATNI KONSTRUKTOR KÓŁ WODNYCH?

JANUSZ BOGDANOWSKI



Trudno uwierzyć, że w czasie gdy znikają resztki młynów i tartaków poruszanych kołem wodnym, ktoś może jeszcze je budować.

A jednak w Juszczyńcu „na Snozach” (pow. Sucha) u stóp masywu Babiej Góry żyje taki — kto wie czy nie ostatni w Polsce — wiejski mechanik, który w 1955 roku zbudował dwa duże koła wodne. Nie mają one nic wspólnego ze spotykanymi w tych okolicach małymi kółkami służącymi do napędzania dynam elektrycznych czy drobnych warsztatów.

Jedno z nich znajduje się przy wzniesionej przez niego „kołodziejni”, do której wodę doprowadza nowowytocz-

na „przykopa”. Budynek jest niewielki, szalowany deskami, kryty gontem. Ale za to koło ma 2,5 m średnicy i niezwykłą konstrukcję. Przede wszystkim jest ono śródsiebierne — rzecz w tych stronach nie spotykana — a poza tym odznacza się osobliwym kształtem... Znalazł w nim bowiem połączenie zwykły ósmioramienny „dubeltowy” układ na „obłap” z jakąś archaiczną formą, w której ramiona rozchodzą się z wału promieniście a łopatki sterczą z obwodu koła. Przypomina to swym kształtem stary typ koła wodnego z dawnych rycin oraz rękopiśmienny opis młyna z początku XIX wieku, w którym: „W walniku łopatki na czole, czyli obwodzie kłęgu (tak! słowo to powtarza się kilkakrotnie) się stawiają...”

Koło to zdaniem wiejskiego konstruktora z Juszczyńca mimo wielu zalet ma tę wadę, że zimą łatwo obmarza. Dlatego też zbudował inne, tym razem zwykłej konstrukcji, ale niezwykłej — jak na teren Beskidów — wielkości, bo o średnicy prawie 3,5 m (!). Gdy je oglądałem nie było jeszcze wykończono, ale już imponowało rozmiarem i zapewne miało być użyte jako „walne” (podsiebierne). Trzeba zaznaczyć że jest to również niespotykany w Beskidach typ.

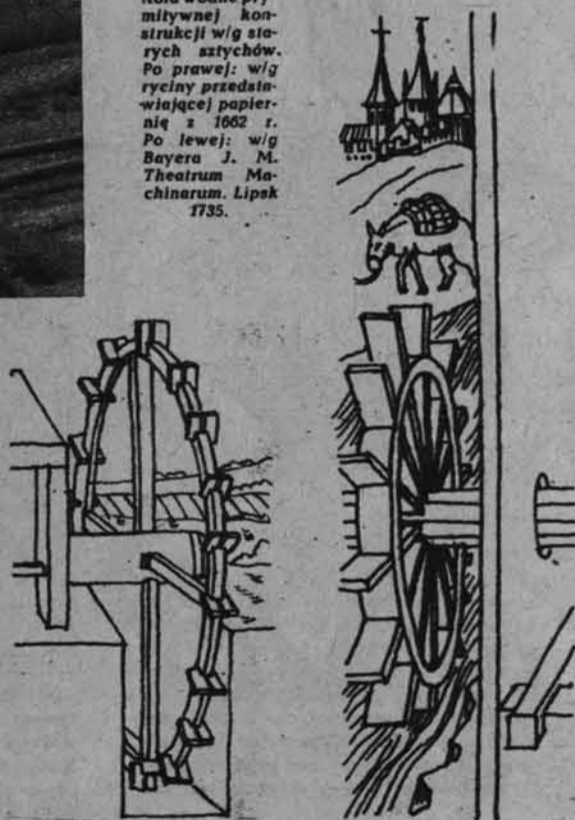
Niestety nie znam nazwiska konstruktora tych kół, jednak jest nim chyba wymieniony przez Zygmunta Bubaka (O zapomnianych hutach szklanych w Juszczyńcu. Wierchy 1956 rok 25. str. 78) „Stanisław Kaczmarczyk, uzdolniony cieśla, stolarz i mechanik wiejski”. Od niego samego zaś wiem, że z zawodu jest kołodziejem, pewne wiadomości z mechaniki wyniósł jeszcze z austriackiego wojska, reszty nauczył się.

To pozwoliło mu na konstruowanie „kunsztów wodnych” — choć nie bez trudności, bo wiele by jeszcze się chciał nauczyć. Budową kół zajmuje się ze specjalnym zamiłowaniem.

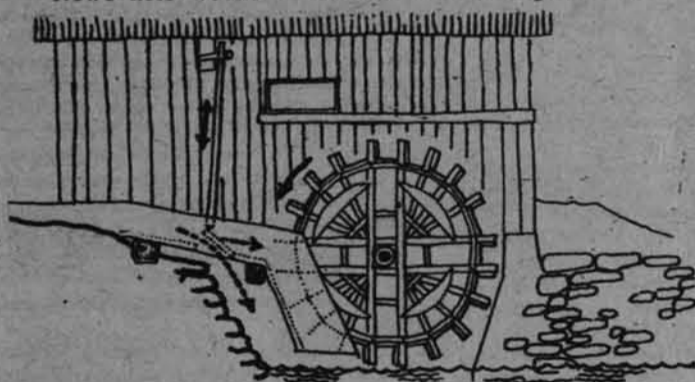
Największym jego zmartwieniem było, by jego konstrukcje dobrze działały, bo w przeciwnym razie „ludzie by się śmiali”. Zaś największym uznaniem cieszył się pewien kolejarz z Grzechyni, który zbudował pilę wodną tnącą deski na płasko.

Warto popatrzeć na działalność majstra z Juszczyńca nie tylko od strony jej osobliwości, ale i z punktu widzenia wykorzystania siły wodnej. Wiele się mówi o budowie małych elektrowni, warsztatów, młynów wodnych, które odciążąby duże zakłady energetyczne i przemysłowe. Dlatego warto by poprzez jakąś działalność juszczyńskiego majstra i jemu podobnych, by nareszcie zniknęły nonsensowne elektryczne młyny i parowe tartaki nad bystrzymi górkami i nizinnymi rzekami.

Koła wodne prymitywnej konstrukcji w/g starych szychów. Po prawej: w/g ryciny przedstawiającej papiernię z 1662 r. Po lewej: w/g Bayera J. M. Theatrum Machinarum, Lipsk 1735.



Nowe koło wodne w budowie. Fot. J. Bogdanowski



Oryginalnej konstrukcji stare „koło wodne” w Juszczyńcu-Snozach. Rysunki autora.

KŁOPOTY ZE SZTUKĄ LUDOWĄ

nikt jej w tej sytuacji nie dorówna. Lepiej raczej lepiła, teraz zajmuje się tym już bardzo rzadko. A inni także już prawie nie wyrabiają tych figurynek. Nie opłaca się. Na jarmark nie wyniesie, bo trzeba płacić podatki. Ciężko sprzedają na odpustach, ale także rzadko. Szczęść.

Spałem na sterychu, na wygodnie wynioszonym posłaniu. Rano zauważyłem stojącą pod ścianą, piękną choć bardzo już zniszczoną rzeźbę Chrystusa Ukrzyżowanego. Okazało się, że była to posłana w stan spoczynku resztko krzyża przydrożnego, którego miejsce zajęł nowy, ozdobnie wykuty krzyż żelazny. Odezwała się jednak we mnie myśl sberaczka (któż jej nie ma!). Wystąpiłem do gospodarza i nieśmiało

zapytałem czy by mi tej rzeźby nie sprzedali.

— Panie — zawołał z oburzeniem gospodarz — albo to my Judaszę zbyliśmy Pana Jezusa sprzedawali? Nie wiedziałem gdzie się mam po tym niefortunnym wystąpieniu schować — Frajer z pana — powiedział mi półmiej któryś z krakowskich znajomych — trzeba było buchnąć. Buchnąć? — O tym potem. Żeby jakoś wywdziżyć się miłym gospodarzom za serdeczną gościnność podarowałem im wydany przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne „Wybór polskich pieśni ludowych”. Wśród reprodukowanych jako ozdóbki dzieł sztuki ludowej są tam wycinanki Ciesławy Konopkówny. Gospodarz mój, który, tam nie będąc

twórcą, dzieła swojej rodziny z prawdziwym zapałem ocenia, obejrzał cały tom. Niektóre rzeczy chwalił, nad innymi wzruszał ramionami. Gdy doszedł do kafla mazurskiego, na którym wymalowany jest żołnierz na stylizowanym koniu z mocno wygiętym grzbietem, powiedział: I to ma być koń? To nie ma wyglądu. Jakby całówek na niego usiadł, to by się zalał! Cieszcie się obrońcy akademickiej poprawności! Autentyczni znawcy, jak najdalej od naturalizmu, także nie potrafili się zdobyć na uznanie dla obcych im konwencji artystycznych.

Łomża, Muzeum Kurpiowskie. Na dwóch niewielkich salkach święta



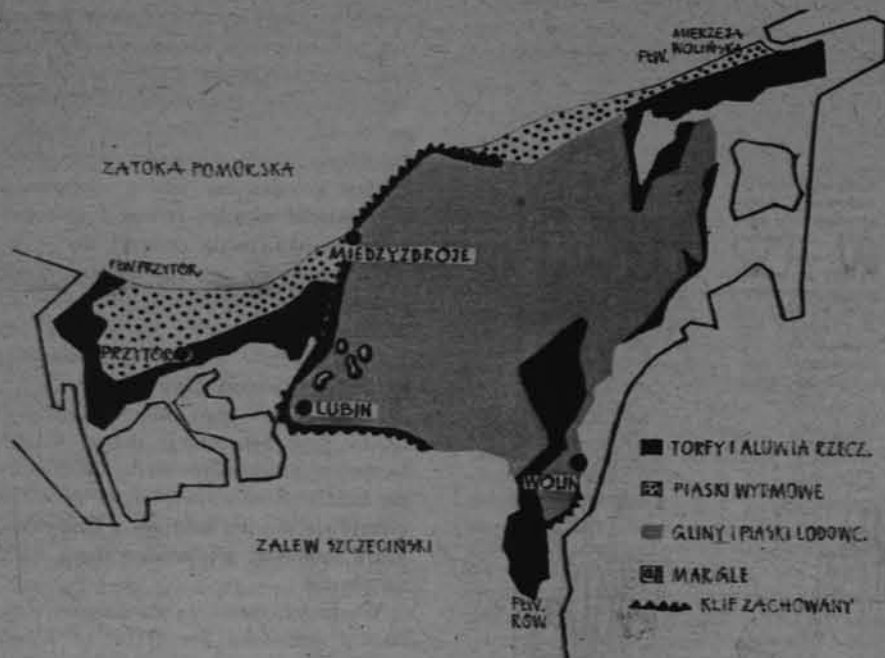
Fot. S. Deptuszewski

WYSPA WOLIN



WOJCIECH JAROSZEWSKI

ROSNAĆCA WYSPA



iste archiwum przyrody nieożywionej i posiada ciekawą historię geologiczną.

Spójrzmy na mapę, a od razu rzuci się nam w oczy obok zwartego obszaru centralnej części Wolina kilka jakby sztucznie doczepionych doń półwyspów, tworzących wydłużone rogi nieregularnego trójkąta wyspy. Są to półwyspy: Rów na południu, Przytór na zachodzie i tzw. Mierzeja Wolińska na północno-wschodnim krańcu wyspy. Już mapa mówi nam więcej o pewnej dwoistości w budowie wyspy. Wyraźniej dostrzec to możemy, płynąc parostatkami ze Szczecina do Międzyzdrojów. Gdy przebywszy Zalew Szczeciński znajdziemy się na jeziorze Wiczo, uderza nas kontrast niskiego, piaszczystego półwyspu Przytór wobec wyniosłej, piętrzącej się stromą, lesistą ścianą centralnej części wyspy. Mamy przed sobą dwa światy, dwa zupełnie różne elementy geografii Wolina: plejstoceniczne jądro — trzon wyspy zbudowany z utworów lodowcowych oraz dużo młodsze „przybudówki” — półwyspy i mierzeje, będące wynikiem akumulacyjnej działalności morza i wiatru.

Aby poznać budowę starej, plejstocenicznej części wyspy najlepiej wybrać się plażą z Międzyzdrojów do Wiselki. Aż po okolice jeziora Grodno towarzyszy nam tu piękny klifowy brzeg, nad którym piętrzą się najwyższe wzniesienia naszego wybrzeża z górą Gosiań (115 m) na czele. Strome urwiska klifu ukazują nam kompletny przekrój trzonu wyspy. U dołu profilu widnieją doskonale odsłonięte szarych i rdzawych glin, pełnych nieregularnie rozproszonych glazów najróżniejszego roz-

dzaju i wielkości. Jest to typowa morena denną — pozostałość po stopnieniu lądolodu ze Skandynawii. Takim „egzotycznym” pochodzeniem glin tłumaczy się niezwykle urozmaicony skład zawartych w niej glazów. Wyplukane przez szorstowe fale z klifu, tworzą one u jego podnóża charakterystyczny „wał brzegowy”, będący prawdziwym muzeum osobliwości. Leżą tu obok siebie żwir i glazy kilkumetrowej średnicy, a różnorodność odmian uderza nawet laika niezwykle pstrokacizną kolorów.

Tam, gdzie w klifie ukazują się gliny morenowe, opada on stromym, nieraz — całkiem pionowym — urwiskiem. Miejscami sterczą znów całe skupienia oryginalnych turni i iglic, wyrzeźbionych w glinie przez deszczowe potoki. Są jednak odcinki, gdzie zbocze klifu jest dużo łagodniejsze, porośnięte kępami rokitnika — w skład jego wchodzi wtedy widoczne nad gliną piaski z glazami, będące również tworem lodowca.

Idąc plażą, warto zwrócić również uwagę na klasycznie tu rozwinięte objawy walki morza z lądem; nigdzie na całym polskim wybrzeżu nie spotkamy ich bowiem w tak pięknej postaci. Wał brzegowy czy zastępujące go miejscami zwaliska ogromnych glazów są świadectwem stałego cofania się brzegu, wskutek którego klif utrzymuje swą stromość, a u jego podnóża, choć w pewnej, regularnej odległości gromadzi się owo charakterystyczne pasmo glazów. Jak obliczono, nadmorski klif Wolina cofnął się w okresie ostatnich 190 o 150 m, a więc średnio o 0,8 m w ciągu roku! Niszczenie klifu od strony Zatoki Pomorskiej zachodzi jednak tylko podczas sztormów. Normalne fale zatrzymują się bowiem na piaszczystej plaży, ciągnącej się u stóp urwiska. Dzięki temu obok głównego wału brzegowego na plaży Wolina rozwinięło się również drugie analogiczne pasmo osadów brzeżnych ciągnące się w zasięgu normalnych fal niezbyt wzburzonego morza. Ta osobliwa miniatura wału brzegowego składa się z charakterystycznej mieszanki drobno-żwirku oraz mnóstwa muszelek i ich szczątków.

Trzon wyspy Wolin posiada klifowe wybrzeże nie tylko na północy. Piękny klif podziwiać możemy nad Zalewem Szczecińskim, gdzie lesiste stoki Gór Lubińskich opadają klifowym urwiskiem

Wolin nieznaną? Każdemu, kto widział tłumy turystów, które w porze letniej opuszczają niemal co dnia warszawski pociąg w Międzyzdrojach, twierdzenie takie może się wydać absurdem. Zwłaszcza obszar Woliński Parku Narodowego, od paru lat cel licznych wycieczek turystycznych, nie wymaga, wydawałoby się, popu-

laryzacji. A jednak właśnie teren Parku jest w stosunku do swoich wartości przyrodniczo-krajoznawczych nieproporcjonalnie mało wykorzystany. Trzeba przy tym, pamiętać, że obok wielu osobliwości botanicznych i zoologicznych, o których spotykamy na ogół przynajmniej wzmianki w przewodnikach turystycznych, wyspa stanowi też swo-

KŁOPOTY ZE SZTUKĄ LUDOWĄ

ekspozycja sztuki bogatego regionu: stroje, hafty, meble, skrzynie, ceramika. Szczególnie spodobała mi się niewielka rzeźba ceramiczna: jeleń z małym, pracą miejscowego garncarza, H. Saraczewskiego. Był właśnie dzień targowy. Spotkałem Saraczewskiego na rynku. Siedział pośrodku morza doniczek i prostych garnków glinianych. Tylko niektóre z jego wyrobów były zdobione skromnym ornamentem, typowym dla tutejszej okolicy. Wygląd stoiska niczym nie zdradzał, iż właścicielem jego jest nie lada sztukmistrz.

— Czemu nie wynosi pan na targ swoich rzeźb?

— Nie oplaci się. Roboty z tym dużo, a kto tu kupi? Na podatek człowiek nie zarobi. Do muzeum coś ku-

pili, przyjeżdżali także z Warszawy. A doniczki ludzie kupują co tygodnia.

Może już do tej pory twórczością p. Saraczewskiego i podobnych jak on artystów zainteresowało się Ministerstwo Kultury i Sztuki? Myślę, że jeżeli tacy jak on zajmą się godniejszą ich talentu pracą, to doniczek nam pomimo to nie braknie.

Lubelskie. Łątek Ordynacki koło Kraśnika. Diabeł dobranoc mówi — i to nie dlatego, że szosa nie najlepsza tam wiedzie, ale głównie z tej przyczyny, że Łątków jest w okolicy nie mało, i trudno się dopyta, gdzie właśnie ten — Ordynacki — leży. Tam, między drogą a wąskim potokiem, po-

śród lasów stoją chałupy garncarzy. Wyrabiają tam pięknie malowane miski, dzbany i garnki. Wyrabiali! Za pięć piędzi — na umowę z CPLIA. Za trzydzieści kilka złotych kupiliśmy tam (na lewo!) kilkanaście naczyń. Nie wiele mniej trzeba dać w cepeliowskim sklepie za jeden dzbanek. I tu to ludzi — urzędników, konwojentów, ekspedientów opłacić muszą ci biedni, osmoleni ludzie, których praca przynosi nam sukcesy na międzynarodowych targach i sporo, jak się zdaje, dewiz? Przynosiła! Bo, jak słyszałem garncarze z Łątki Ordynackiego przetrucili się prawie wyłącznie na wyrób kaffli — nie jakichś tam szczególnie ozdobnych, ot, zwyczajnych kaffli na użytek miejscowej ludności.

Fot. S. Deptuszewski

niekiedy wprost do wód Zalewu. Klif odnajdziemy również koło miasteczka Wolin — na południowych stokach tzw. Góry Wisielców. Mamy tu do czynienia z klifem starym, oddzielnym od morza przez „doczepiony” doń akumulacyjny półwysp Rów. Prosty stąd wniosek, że wyspa Wolin musiała być niegdyś dużo mniejsza niż obecnie. Obszar jej ograniczał się wówczas do obecnego plejstocenicznego trzonu, którego brzegi były atakowane przez fale. Miało to miejsce u zarania życia obecnego Bałtyku. Ujściowy obszar Odry wyglądał wtedy jak archipelag wysp, między którymi wody Zalewu swobodnie kontaktowały się z morzem. Jedną z takich wysp był właśnie Wolin, co po dziś dzień odbija się w jego krajobrazie. Z biegiem czasu poziom wód obniżył się jednak; natychmiast też rozpoczęła się akumulacyjna działalność morza i wiatru. Stopniowo, metr za metrem wyrastały na przedłużeniu pierwotnej wyspy piaszczyste mierzeje i kasy. By zapoznać się z tymi procesami warto odbyć wycieczkę na półwysp Przytór, gdzie możemy być świadkami współczesnego formowania się wydm, nieutrwalonych jeszcze przez roślinność. Cały półwysp ma zarys charakterystycznej głowicy, uwarunkowany układem wałów wydmowych. O tempie akumulacji piasku możemy wnioskować, porównując XVII-wieczne mapy szwedzkie ze stanem obecnym. Wynika stąd, że od r. 1695 powstało 7 nowych wałów wydmowych, a zatem tworzenie jednego z nich trwało ok. 35 lat. Jeśli wartość tę uznać za miarodajną dla wszystkich wydm odcinka Międzyzdroje—Swinoujście, otrzymamy dla usypania wydm całego tego obszaru okres czasu ok. 7 tys. lat, co zresztą jest całkiem prawdopodobne.

Rozwijająca się żywo działalność

akumulacyjna morza i współdziałająca z nią praca wiatru, a także osady rzeczne donoszone ze strony lądu, doprowadziły w końcu do niemal zupełnego zasypiania szerokich niegdyś „bram”, oddzielających morenowe wzniesienia Uznamia i Wolina. Pierwotna zatoka morska przekształciła się w zalew, połączony jedynie trzema wąskimi przesmykami Dziwny, Świny i Piany z otwartym morzem. W zwycięskiej tu dla lądu walce z morzem brała także udział roślinność. Zespoły roślin wodnych zasiedlały brzegi piaszczystych mierzei. Stopniowo narastał podmokły, torfiasty ląd. Taka ekspansja roślinna dała początek półwyspowi Rów u ujścia Wielkiego Zalewu do Dziwny, który ustalili się dopiero w XVIII wieku. Z utworów torfowiskowych zbudowane są także liczne wysepki między Starą Świną a jez. Wicko. Podstawę ich tworzą jednak osady rzeczne, usypane — rzecz ciekawa — przed wlotem do „bramy Świny”, zamiast u jej wylotu do morza. Okazuje się, że kierunek prądu w ramionach ujściowych Zalewu do Zatoki Pomorskiej wcale nie jest czymś stałym: gdy intensywne parowanie z powierzchni Zalewu idzie w parze z niewielkim dopływem wód rzecznych (co ma miejsce szczególnie w okresie późnego lata i wczesnej jesieni), a zwłaszcza pod wpływem silnych wiatrów północnych, obserwuje się w Świnie i Dziwnie przepływ skierowany ku górze, od morza do Zalewu. W takich właśnie warunkach następuje akumulacja wspomnianych wyseppek, będących w ten sposób klasycznym przykładem tzw. delty wstecznej.

Niesposób tu wyliczyć wszystkich godnych ujrzenia zabytków przyrody nieożywionej Wolina. Warto jednak pamiętać, że Wolin to nie tylko muzeum, archiwum zabytków; Wolin to nade

wszystko współczesne laboratorium przyrody, w którym procesy formowania się krajobrazu w odwiecznej walce morza i lądu można śledzić z małą gdzie indziej spotykaną wyrazistością

K O N I E C

Po prawej: schemat powstawania wydm piaszczystych na półwyspie Przytór. Poniżej: przykład klifu nadbałtyckiego. Fot. J. Czecz.



ŁÓDŹ W DAWNEJ

Nie tylko Kraków ma swe sukiennice. Ma, a raczej miała je także przemyślna Łódź, pobliski Aleksandrów, a może i niejedno jeszcze miasto w Polsce. Tylko, że krakowskie sukiennice przewyższają inne wielkością, wspaniałością stylu, a przede wszystkim celowością użytkowania. Łódź posiadała „sukiennice” zwane tu popularnie „arkadami Marconiego” na Starym Mieście. Arkady te zamykały niewielki plac przy ul. Zgierskiej, na którym do drugiej wojny światowej stało kilkadziesiąt straganów



F O T O G R A F I I

z różnymi towarami, nie tylko z sukniem. Handel późniejszego okresu i pozostawał się niemal czątkowo służyły jako wyłącznie w rękach Żydów. Wkroczenie Niemców do Łodzi w r. 1939 nie jest pisany długi żywot, albowiem istnieje projekt wybudowania

Arkady powstały w 40-tych latach ubiegłego wieku i w roku 1956 zostały rozebrane przez trudem miłośników ZOR, który na ich miejscu wystawił kilkupiętkowy gmach z podcieniami, przypominającymi zburzone arkady.

Drugie podobne arkady posiada Łódź przy Placu Wolności, dawnym Rynku Nowego Miasta u wlotu ulicy Nowotki.

IRENA POPLAWSKA
FOT. SPOLIŃSKI

KŁOPOTY ZE SZTUKĄ LUDOWĄ

Rzeszów. Okolice Strzyżowa. Przejechaliśmy na rowerach spory kawał drogi. Tym razem nie o sztukę ludową nam chodziło, ale o sfotografowanie typowych dla Rzeszowszczyzny krajobrazów. Przy drodze kapliczka, w niej — rzeźbione świątki. Zatrzymujemy się dla zrobienia zdjęcia. Podchodzi do nas gospodarz pobliskiej zagrody.

— Robicie zdjęcie?
— Ano, trzeba sfotografować.
— Podoba się to wam?
— Podoba. Teraz rzadko spotyka się rzeźbione świątki.
— Tak, już ze dwa lata będzie, jak obiecał nam z miasta przysłać figurę, a nie możemy się doczekać.
— A co z tymi rzeźbami zrobicie? —

Zauważyłem w oczach mego towarzysza błysk nadziei. — Wyrzucicie?

— E, nie! Schowamy. Może na strych. Kto by wyrzucił!

Jedziemy dalej.

— Chyba trzeba było buchnąć.

— Albo przywieść im tę upragnioną „figurę gipsową”. Pewnie by zamienili.

W Krakowskim kapliczek ludowych o wiele mniej niż pod Rzeszowem. Trochę znajdowało się na Podhalu. Ale tam także, mimo iż znacznie żywsza, znacznie bardziej świadoma i ambitna jest twórczość ludowa pomalą tandetą wypiera piękno. A swolnicę pojęcie

„amatorstwo” ludzi z miasta przyczynia się do tego w niemalym stopniu. Pewien znajomy plastyk chwalił mi się pięknym obrazem pochodzącym z jakiejś przydrożnej kapliczki pod Górcami. Jak go zdobył? Wyciął płótno z ram nożem! Tak. Teraz mogę już przysiąc, że nigdy nie „buchnę” świątki. Choćby się poniewicział.

A co robić, żeby „bogorobna” twórczość, jak i cała reszta sztuki ludowej nie zanikała pod naporem cywilizacji „miejskiej”? Może bardziej odwieceni mieszkańcy wsi, nauczyciele, księża, przekonali się sami i przekonali ludność swoich wiosek, że te naiwne rze-





Wojowie Bolesława Chrobrego

JAN BENDA

RYS. STANISŁAW KOBIELSKI

Poza przekazem kroniki Galla o wystąpieniu na Zjeździe Gnieźnieńskim w 1000 r. przed cesarzem Ottonem trzech zastępów konnych wojów króla Bolesława Chrobrego wywołujących podziw gości jednolitymi barwami, nie znamy żadnych wzmianek późniejszych o jednolitym stroju wojska polskiego.

Dopiero kronika Marcina Bielskiego podaje, że w 1562 r. król Zygmunt August udając się na Sejm Piotrkowski przybrał cały swój dwór, a zapewne i oddziały gwardii, w szarą barwę zwaną „ziemiańską”.

Strój sąsiadów lub wrogów drogą kontaktów handlowych, kulturalnych lub wojennych wywierał duży wpływ na kształtowanie się ubioru obywatelskiego i wojskowego w Polsce. Zwracali na to uwagę już współcześni. Strykowski w swej kronice pod rokiem 1578 już za króla Stefana Batorego pisanej, podaje że w 1507 r. na powitanie Zygmunta I w Krakowie poczty polskich panów były przybrane po litewsku albo po kozacku „bo i to dziś po trzech Królach widzimy, że jaki Król i z której krainy taki i ubiór naszy jako małpy noszą”. Widział on bowiem kolejno na przybocznej gwardii królewskiej stroje renesansowe włoskie, potem francuskie, wreszcie węgierskie. Królom naśladowali możnowładcy oraz rotmistrze i towarzysztwo, strojąc swe poczty wedle panującej mody. Lubieniecki wspomina, że przed panowaniem króla Stefana Batorego piechota polska w początkach XVI w. używała szat szachowanych z różnych barw sukna, przez co bardziej do błaznów byli podobni niż do rycerzy. Był to więc typowy strój renesansowy. Podobny noszą też ciężko zbrojni. Strój ten zależny od mody przetrwał do około 1560 r.

Mniej więcej po tej dacie piechota polska przybiera początkowo strój podobny piechurów niemieckim, a potem od razu strój węgierski, to jest krótkie dolmany i magierki, litewska zaś delie o stojących kołnierzach i wysokie kolpaki.

Strój węgierski, a raczej hajducki, po przemianach spowodowanych potrzebą (wedle rady Maksymiliana Fredry, autora dzieła „O porządku

wojennym”, by w piechocie „krótkich i niezawijanych dolmanów i katanek miasto delii albo tylko kozuchów na zimę używać”), przerodził się w strój polski i przetrwał aż do końca XVII wieku. Uważano bowiem, że „jako zaś cudzoziemski porządek w pieszej wojnie jest dobry, tak wzajem rynsztunek polski i strój daleko lepszy pieszemu, bo co się tknie sukien, nie tak prędko ślota, mróz i niewczas żołnierzowi polskim krojem oddzialemu dokuczają, jako niemcowi”.

Nieodłączną sieczną bronią boczną była szabla pałaszowata prosta, daleko lepsza do pchnięcia oraz i cięcia aniżeli szpada. Trzeci rodzaj broni białej obok kolnej, jak giewie, halabardy i spisy, stanowiły siekierki „niewymownego pożytku” do robót pionierskich.

Ponieważ w XVI w. w wyniku umów zawieranych przy zaciągu część żołdu wypłacano pieniędźmi, a część towarem w postaci sukna, przeto rychło wytworzył się zwyczaj w Polsce przybierania całych rot pieszych w jednokową barwę. Jednak dopiero od czasów króla Stefana Batorego dochodzą nas pierwsze przekazy o jednokowo umundurowanej piechocie, którą kronikarze nazywają po barwie sukien. Słyszymy więc o żółtej piechocie marszałka koronnego, czarnej Weihera, o gwardii w fiolecie i czerwieni.

W końcu panowania Stefana Batorego ustala się na długi czas barwa „zwyczajna obłoczysta”, czyli błękitna dla piechoty wybranieckiej i rot gwardii, natomiast piechota węgierska zachowuje do końca istnienia barwę zieloną, tradycyjną potem także w innych formacjach przeznaczonych dla użytku i posługi królowi lub hetmanom.

Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę z ogromnej roli jaką w kulturze polskiej odgrywały, a i dziś jeszcze odgrywają, mundury wojskowe. Wojsko bowiem, to ważny czynnik wpływający od wieków na kształtowanie się ludowych strojów regionalnych. Wspaniałe kolorowe mundury maszerujących przez kraj armii i wyswiechtane, zniszczone lecz otoczone nimbem bohaterstwa przygody kubraki zdymisjonowanych weteranów stawały się niejednokrotnie natchnieniem dla wiejskiego krawca. Nie zapominajmy jednak że i wiejskie ubiory dostarczały niekiedy pomysłów polskim rzeczoznawcom wojskowym, którzy odziewali niektóre formacje w mundury wzorowane na regionalnych strojach ludowych. O tym wszystkim musi pamiętać etnograf śledzący dzieje polskiej kostiumologii ludowej.

O tym zaś, jak niezwykle silnie oddziaływały mundury wojskowe i na dzisiejsza wieś polską świadczy choćby fakt, że np. młodzi górale, zarzucając „staromodne” cuhy i cyfrowane portki chętnie stroją się w żołnierskie kurtki, spodnie, ba, nawet i czapki. A w dzień jarmarku stragany nowotarskich krawców pełne są nie tylko mundurów, lecz również — co ciekawsze — na mundurowy fason szytych ubrań.

O POLSKIM



Gwardzista króla Zygmunta III oraz usarz z tego okresu.

KŁOPOTY ZE SZTUKĄ LUDOWĄ

by, których koślawość w coraz to większej znajduje się pogardzie, więc są warte, znacznie więcej niż malowana czy drukowana tandeta z papieru, gipsu czy porcelany?

O Wielkopolsce powiedzieć można bez przesady że sztuka ludowa tam już po większej części nie istnieje. Raczej jasna wyjątek — w tym wypadku bardziej chlubny — stanowią stroje, ale nimi się tu nie zajmuję. Resztę przydrożnych brzozy wycięli Niemcy podczas okupacji. O współczesnych twórcach — poza nie bardzo już ludową i zbyt jak na ludowość wykastalną Klarą Prillową z Keyni na Pałukach — nie ma mowy. To jed-

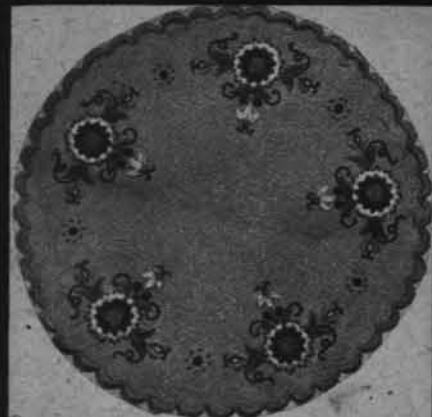
nak całkiem inna sprawa. Warto przy tej okazji przypomnieć, co ponoć Stanisławski powiedział kiedyś do swoich uczniów: — Malujcie polską wieś, bo za dwadzieścia lat już jej nie będzie. W Wielkopolsce już jej prawie nie ma.

Na Kujawach i na Pomorzu także nie jest za dobrze. W porównaniu z kurpiowską, lubelską czy rzeszowską wsią gładząca, pięjącą, kruwim lasem i kurzem woniącą, tu mamy jakieś dziwne karykatury niedorozwiniętych miasteczek.

Na Kujawach, w Nieszawie, umarł przed dwoma laty jeden z ostatnich chyba wielkich świątkarzy polskich — Feliks Błaszczak. Żyje na Kujawach

jeszcze kilku rzeźbiarzy, jak Centkowski czy Ziomek, jest w Raciążku i garniec „Judowy” — reemigrant z Ameryki — ale gdzieś ich wyrobem (zwłaszcza tego ostatniego) do dzieł Błaszczaka czy niektórych twórców z centralnych czy południowych dzielnic Polski.

Ów garniec-rzeźbiarz, mocno już Ameryką przesiąknięty, umiał sobie wyrobić w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Bydgoszczy „papier”, na podstawie którego jego wyroby jako artystyczne wolne są od podatku. A wiadnie! Gdyby podobnie zrobić w całej Polsce, możeby to o jakichś paru lat opóźniło sunący na nas lodowiec tandety i brzydoty. Może by się i opłaciło.



Fot. S. Deptuszewak



Muskieter niemiecki i hajduk polski z połowy XVII w.

stroju wojskowego używanego przez wojsko polskie w pierwszej ćwierci XVII w. była wzorem dla ubioru wojskowego francuskiego, wprowadzonego w pół wieku później, skąd po pewnej ewolucji przeszła do wszystkich niemal wojsk europejskich i przetrwała w tej formie prawie do końca XVIII wieku.

Dragoni zaprowadzeni w wojsko polskim w 1623 r. używają początkowo stroju zachodnio-europejskiego, lecz już w 1634 r. przyjmują polski strój głowy i stopniowo przywdziewają całkowity ubiór polski. Strój gemaína dragona polskiego w końcu XVII w. mało się odróżnia od stroju pocztowego lekkiej jazdy. Widocznie też dłatego dragoni za króla Jana Sobieskiego otrzymują zasadniczą barwę czerwoną zwierzchnich sukien.

Obok regimentów dragońskich ubranych po polsku istnieją inne, noszące się wzorem szwedzkim, brandenburskim lub holenderskim i zamiast kapuz przywdziewające kapelusze.

grafu jako odznaki godności oficerskiej obok szarfy. Podoficerowie używali barw odwrotnych, to jest barwy zasadnicze mundurów szeregowców były barwami wyłogów dla podoficerów i grajków, zaś barwy wyłogów szeregowych były barwą zasadniczą mundurów podoficerów. Podobny obycaj w stroju wojskowym występuje współcześnie w wojskach cesarskich.

Niemieccy mundurznawcy twierdzą uparcie, że mundur autoramentu cudzoziemskiego w Polsce w XVIII w. oparty był na wzorach saskich. Pewne podobieństwo formy stroju istnieje tylko w mundurze gwardii konnej koronnej, natomiast mundur piechoty i gwardii pieszej jest zdumiewająco podobny do mundurów piechoty angielskiej lub holenderskiej. Podobieństwo to występuje raz jeszcze w mundurze gwardii pieszej koronnej w latach 1790—1795.

Mundur piechoty saskiej w 1732 r., zwłaszcza grenadierów, jest całkowicie odmienny w formie i barwie zasadniczej od mundurów piechoty pol-

STROJU WOJSKOWYM

Na lewo: dragon francuski. Na prawo: dragon polski z końca XVII w.

Polski strój w piechocie przetrwał aż do czasów Jana Sobieskiego. Obok bowiem regimentów pieszych przybranych całkowicie w strój zachodnio-europejski, a były to zwykle regimenty gwardii i zaliczające się wtedy do niej regimenty królowej i królewicza, stały w ciągu XVII w. całe regimenty przybrane w polskie suknie, czapki polskie, kuczmy lub kapuzy, delie i żupany, kroju stosownego do ówczesnych wymogów mody lub obycaju wojskowego.

Przy błękitnej barwie zasadniczej stroju polskiej piechoty nie wiadomo czy stosowano jakieś wyłogi u sukien lub wierzchy czapek odmienną barwy dla rozróżnienia regimentów.

Chlubią się Francuzi, że już w 1672 r. na wojnę z Holandią dla całej armii ustanowili jednolity barwą krój mundurów. Wcześniej jednak poszczególne oddziały liczących gwardii przybocznych królewskich we Francji nosiły jednolite krojem i barwą stroje, podobnie jak w Polsce, Anglii, Sardynii, Hiszpanii i Neapolu, oraz na dworze papieskim i cesarzy niemieckich.

Wprowadzenie jednolitego barwą stroju dla armii polowej było doniosłym pomysłem. Walczące szeregi oraz dowódcy i gońcy mogli teraz zdaleka rozpoznać wśród kłębow dymu prochowego na polu bitwy, gdzie są stanowiska własnych wojsk i nieprzyjacielskich oraz obserwować posuwanie się ich podczas bitwy.

Polscy historycy sztuki wojskowej nie zwrócili do tej pory na to uwagi, że w wojsku Rzeczypospolitej już w XVI w. używano jednolitej formy i barwy strojów w piechocie, oraz że chorągwie jazdy proporcy i formą uzbrojenia ochronnego odróżniały się zawsze od szyków nie-

przyjacielskich zarówno Turków, Moskali czy Szwedów, pomimo częstego naśladowania pewnych form ich stroju.

Również jazda nasza z upodobaniem stosuje już w XVI w. pewne charakterystyczne wschodnie formy i rodzaje uzbrojenia ochronnego, a cóż dopiero gdy zaczęto przyjmować szwedzkie formy strojów w piechocie, dragonii i rajtarii!

Kostiumolog duński w studium o rozwoju stroju męskiego w XVII wieku wysunął twierdzenie, że forma



W następnym okresie w XVII w. około roku 1710 piechota nosi zwierzchnie suknie dość długie o szerokich odwijanych wyłogach rękawów (poły nie są spinane), kamizelki-żupanki, krótkie spodnie i pończochy. Na głowach kapuzy, a podoficerowie noszą kapelusze. Zasadnicze barwy są różne: białe, piaskowe, zielone, błękitne i czerwone; wyłogi oraz spodnie w kamaszach białych lub czarnych i kamizele były barwy odmiennej, właściwej dla każdego regimentu. Po 1713 r. oficerowie używają już ryn-

skiej. Suknie zwierzchnie piechoty polskiej są koloru czerwonego, podszewki, wyłogi na piersi i u rękawów, kamizelki i spodnie barwy regimentowej. Podobnie odróżniają się regimenty dragońskie.

Za króla Augusta III występują pewne zmiany w mundurach regimentów pieszych spowodowane wpływami wzorów pruskich, rosyjskich i francuskich. Szefowie regimentów wprowadzają czasem zmiany form i kolorów sięgające nawet barw regimentowych. W tym czasie również w zaciągu polskim ustalają się zasadnicze barwy dla towarzystwa i szeregowych zaciągu polskiego w chorągwiach husarskich, pancernych i lekkich.

Z lewej: grenadier saski. Z prawej: grenadier polski z 1730 r.



C. DALSZY ZA MIESIĄC

KŁOPOTY ZE SZTUKĄ LUDOWĄ

Na Kaszubach — chyba jeszcze gorzej ze współczesną twórczością ludową niż na Kujawach. Tu znowu poczynam się do obowiązków zamoczenia i pomijam sprawę haftów, wśród których na Kujawach widziałem rzeczy piękne, na Kaszubach — o! zgrabne robotki oparte na tradycyjnych wzorach. Mało jest artystów i twórców, ich jest niemal zerowa. Odrabiają zadania dla Wojew. Domu Twórczości Ludowej w Gdańsku, który (jak i Muzeum Kaszubskie w Kartuzach) wylazi ze skóry, żeby z tych poczytych rzemieślników stolarskich czy szewskich uczynić rzeźbiarzy i malarzy. Czy takie wyciąganie „twórczości” za uszy ma sens? W każdym razie wątpliwa wydaje mi się celowość uczenia bied-

nego stwca czy szklarza, jak malować obrazy na szkło, które to arcydzieła (a ich tematyka w myśl zaleceń WDTL musiała być pracal), mają nawiązywać do (połali się Boże jakich) pradawnych, rzekomo autentycznych kaszubskich, a prawdopodobnie sprowadzanych ze Śląska malowizek.

Mówiąc o sztuce kaszubskiej nie sposób pominąć pracowni ceramicznej Leona Necla w Chmielnicy koło Kartuz. Nie wiem, jak wygląda ona dzisiaj. Ale sądząc z wyrobów, jakie nie trudno oglądać w cepeliowskich sklepach, inwencja jej skostniała zupełnie. Samej pracowni niestety nie miałem okazji odwiedzić, ale widziałem jej fotografie i słyszałem o systemie jej pracy. Cóż — prawdziwy Żerań, tyle

że pod sztandarem CPLA. Ale czy przy takinowej produkcji może być mowa o artystycznym rozwoju pracowni?

Dość już chyba tych cierpkich uwag. Zdaje sobie sprawę, że nie wyczerpują one nawet drobnej części trudnego problemu utrzymania autentycznej sztuki ludowej w epoce szybkich przemian gospodarczych i społecznych wsi polskiej. A przy tym oparte są one na spostrzeżeniach już starych. Przez ostatnie dwa czy trzy lata dosyć już wody upłynęło. Ile jednak z tych problemów pozostaje aktualnych do dnia dzisiejszego?

K O N I E C



Fot. S. Deptuszeński



Wywieszka reklamowa kowala K. Ziętkiewicza w Strzałkowie, pow. Sępólna. Zdjęcia autora. Obok wykładka z turki: Borzęcice, pow. Krotoszyń.

W
WIELKO
POL
SKICH
KUŹ
NIACH

sporządzoną. Najczęściej są to wycięte z blachy konie i podkowy lub też wisiorki z połączonych ze sobą podków.

Wyposażenie kuźni wiejskich w Wielkopolsce przedstawia się bardzo niejednolicie, w zależności od możliwości kowala. Wchodząc do wnętrza rzuca się nam przede wszystkim w oczy zajmujące środkową część tylnej ściany kuźni palenisko, w niektórych starszych kuźniach zbudowane z gliny. Jako źródła podmuchu potrzebnego dla wytworzenia w piecu wysokiej temperatury, używa się jeszcze dość powszechnie miechów skórzanych (zwanych gźdzeniegdzie „dymakami”) o przekroju wydłużonego trójkąta. Rzadziej spotkać można miechy prostokątne, przypominające kształtem pionowo ustawioną harmonię. W niektórych kuźniach stosuje się ręcznie odkute wentylatory o napędzie nożnym. Wszystkie te urządzenia są coraz bardziej wypierane przez wentylatory elektryczne. Nieodzownym narzędziem w kuźni, obok różnego rodzaju kleszczy i młotów, są kowadła. Umieszcza się je zwykle w centralnym punkcie kuźni, na dębowym, obitym żelaznymi obręczami kłocu. Obok powszechnych dziś kowadeł jedno i dwurożnych, spotkać jeszcze można stare kowadła bez rogu, o bogato ukształconej bryle i ozdobione motywami geometrycznymi oraz zgeometryzowanymi roślinnymi. Część z nich, obok wybijanych stempelkami motywów zdobniczych, ma na przedniej stronie umieszczoną datę i litery „G. S.” na tylnej zaś cyfry rzymskie oraz inicjały „L. O.”. Tego rodzaju kowadeł znamy z terenu Wielkopolski w tej chwili zaledwie kilka.

Z B I G N I E W
J A S I E W I C Z

Kuźnie to obecnie najczęściej budynki murowane, rzadziej gliniane i kamienne. O wyglądzie dawnych kuźni dowiadujemy się z inwentarzy wiejskich szczegółowo opisujących zabudowę wsi. W XVIII w. najpowszechniej budowano w Wielkopolsce kuźnie drewniane „w bloszki”, „w dyle” i glinane „w lepionkę”, „rygle”, rzadziej kamienne. Od połowy XVIII w. sporadycznie ukazują się na wsi kuźnie murowane. Dach tylko wyjątkowo pokrywano słomą. Najczęściej kuźnie pokryte były „szkudłami” — rodzajem gontów. Przed wejściem podobnie zresztą jak i w innych regionach Polski budowano często wystawkę, opartą na dwóch lub czterech słupach. Oslaniając wejście przed deszczem i śniegiem, umożliwiała ona pracę w kuźni przy otwartych drzwiach oraz dawała osłonę w czasie podkuwania koni. Na dachu lub przy drzwiach wejściowych do kuźni i dziś jeszcze kowal wiejski umieszcza niekiedy wywieszki reklamową, własnoręcznie przez siebie

Porównajmy kowadło z Trzemeszkiem oraz inne podobne kowadła z Wielkopolski z kowadłem z Istebnej — Pietroszki na Śląsku. Uderza nas nie tylko podobieństwo w kształtach i zdobieniu, ale przede wszystkim znakowanie przy pomocy cyfr rzymskich i tych samych liter. Kowadła te wykazują tyle cech zbliżonych, że ich pochodzenie z jednego ośrodka wydaje się nie ulegać wątpliwości. Mieczysław Gładysz pisząc o kowadła z r. 1815 sugeruje, jakoby pochodziło ono ze Śląska, ściślej mówiąc z kuźnic w Ustroniu². Za tezę przyjmującą śląskie pochodzenie kowadeł z inicjałami „L. O.”, przemawia rozwój przemysłu hutniczego na Śląsku i stąd łatwość otrzymania potrzebnego dla ich odlewania surowca. Tymczasem wiadomości zebrane od kowali w Wielkopolsce wskazują raczej na inny ośrodek produkcji tego rodzaju kowadeł. Miał nim być ...Berlin. Dalsze badania pozwolą być może definitywnie ustalić ich pochodzenie.

W okresie użytkowania kowadła bezrogię funkcję rogu spełniało specjalne narzędzie — dwuróg kowalski, nazywany w źródłach historycznych — a także dziś jeszcze przez kowali — „szparogiem” lub „szparnikiem”. Jest to kowadło o kształcie litery T, wysokie na ok. 0,75 cm. Jeden z jego rogów ma przekrój okrągły, drugi prostokątny. Umieszczone ono było na osobnym kłocu obok kowadła. Jak wskazują opisy wyposażenia kuźni wiejskich z XVIII w., narzędzie to było kiedyś w powszechnym użyciu.

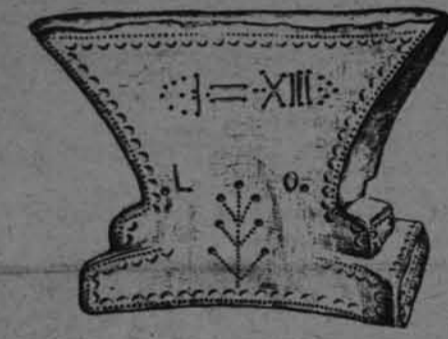
Innym, rzadko już dzisiaj spotykanym narzędziem kowalskim jest obusznicza, zwana dziś jeszcze tu i ówdzie „halmizą”, „emelajzą” itp. Było to narzędzie używane przy wyrobie siekier. Wyrób siekier za pomocą obuszniczy praktykowano w Wielkopolsce jeszcze w latach 30-tych naszego stulecia. Ma on bardzo dawne tradycje. Podobnie, jak wskazują wy-

Kamienna kuźnia z „wystawką” z pierwszej połowy XIX w. Matunowo pow. Czarnków. Poniżej: schemat produkcji siekier tzw. „zawijanych”. Rysunki O. Podlewski.

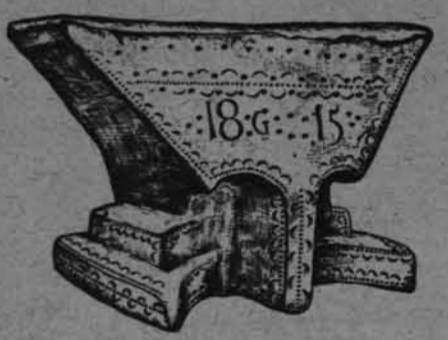


przeszłości kowalstwa, ale i innych dziedzin życia wsi. Potrafi on np. opowiedzieć sporo o dawnych sposobach uprawy roli, bo przecież kowal był głównym wytwórcą narzędzi rolniczych; o innych rzemieślnikach wiejskich, którym niejednokrotnie dostarczał narzędzi; o dawniej używanych pojazdach i sprzętach. Rola i znaczenie kowala na wsi, tak dawniej jak i obecnie, jest bardzo duża. Znaczenie tego rzemieślnika na wsi wynikało z faktu, że w ramach gospodarki pańszczyźnianej kowal wiejski był prawie jedynym wytwórcą narzędzi i sprzętów metalowych dla ludności wiejskiej. Jeszcze bardziej rosło znaczenie kowala w okresie powstań i rozruchów. Kuźnia stawała się wówczas najprymitywniejszą fabryką broni: kos i pik. Wreszcie kowal wiejski bywał także ceniony jako znachor i kowal.

Dzisiaj kowal na wsi wielkopolskiej nie tylko nie leczy zwierząt, a tym bardziej ludzi, ale również w ogół nie produkuje już narzędzi. Większość prac obecnie — to naprawy. Asortyment narzędzi, maszyn i sprzętów metalowych znacznie jednak się rozszerzył i kowal wiejski w dalszym ciągu ma pełne ręce roboty. Innym ważnym zajęciem kowala na wsi pozostało podkuwanie koni a czasami i wołów oraz okuwanie pojazdów. Toteż kuźnię można znaleźć w prawie każdej większej wiosce wielkopolskiej. Mieści się ona zazwyczaj w miejscu dogodnym dla odbiorców, jednakże w pewnym oddaleniu od innych budynków. Było to szczególnie ważne w dawnych wsiach wielkopolskich, o drewniano-glinianej zabudowie, gdzie istniało niebezpieczeństwo wzniesienia pożaru. Najczęściej kuźnia znajduje się w środku placu wiejskiego, na skrzyżowaniu dróg przed wsią, przy szosie, a dawniej, jak na to wskazują inwentarze wiejskie z XVIII w., prawie zawsze obok karczmy lub gościńca.¹

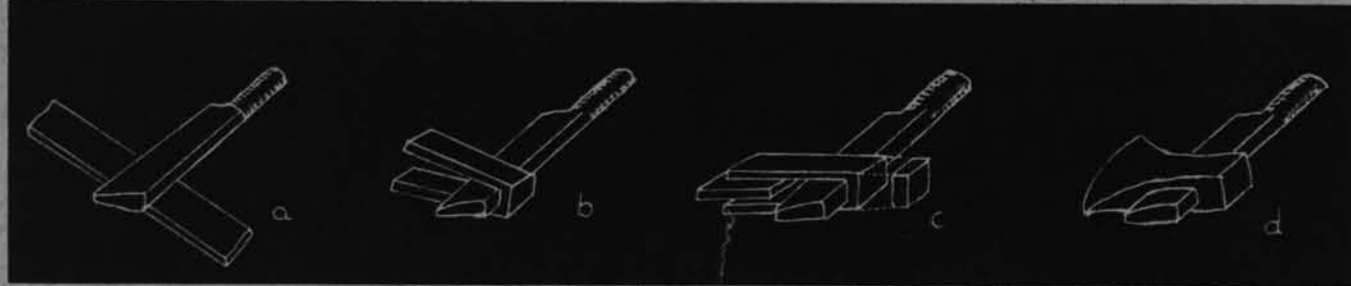


Kowadło z 1815 (strona przednia i tylna) z Istebnej-Pietroszki. W/g Gładysza „Zdobnicztwo metalowe na Śląsku”.



Kuźnia to charakterystyczna budowla związana z obliczem wsi polskiej. W jej ciemnym, zadytmionym wnętrzu niejednokrotnie znaleźć można pamiętające dawne czasy stare narzędzia i wyroby kowalskie. Kowal wiejski, zwykle dziedziczący zawód i warsztat po ojcu a nieraz i dziadzie, przechowuje często ręcznie kute świdry, wiertła, gwintownice, gwoździownice i obusznicze, zdobione kowadła. Części tych narzędzi zresztą ciągle jeszcze używa się nadal. W ten sposób wiele kuźni wiejskich staje się jak gdyby małymi muzeami. Dotrwały w nich do naszych czasów narzędzia wymieniane w dokumentach historycznych a gdzie indziej już zanikłe.

Kowal z dziada pradziada jest często także niewyczerpaną skarbnicą wiadomości dotyczących nie tylko



O DIABELSKIM STAWIE

kopaliska archeologiczne, wyrabiano siekiery na ziemiach polskich już w okresie wczesnośredniowiecznym. Ostatnio w kuźniach wiejskich siekiery produkuje się nieco inaczej. „Zawijanie” zostało zastąpione przez wybijanie w sztabie żelaza otworu na toporzysko. Wyrób siekier zresztą, jako nie opłacający się, coraz bardziej zanika na wsi wielkopolskiej.

Wykonywane przedmioty dawni kowale oznaczali „znakami firmowymi”. Znakowanie wyrobów rzemieślniczych ma również bardzo odległą tradycję sięgającą wczesnego średniowiecza. Dzisiaj tylko gdzieś spotkać można kowala wybijającego na wyrobach swe „herby”. Są to najczęściej stemple literowe z inicjałami kowala. Występują też znaki w postaci odcisków gwintu ułożonych w prostokąt lub „kurzą stopkę”, wybijane stemplem służącym także do zdobienia okuć.

Bardzo skromne na ogół w Wielkopolsce zdobnictwo metalowe przejawia się w wyjątkowym już dziś zdobieniu okuć u wozów oraz w ozdobnych zakończeniach zawiasów i uchwytych do wrot, drzwi i furtek.

Ewolucja kowalstwa na wsi zmierza w kierunku przekształcenia kuźni w warsztaty mechaniczne. Stare narzędzia



Kowadło z r. 1839 (strona przednia i tylna) Trzemiąza, pow. Mogilno.

dzia i techniki kowalskie giną wypierane przez nowe urządzenia. Coraz rzadsze są też artystyczne wyroby kowali wiejskich. Przedmioty te dziś już posiadają wartość zabytkową. Są cennym materiałem dla badań nad historią rzemiosła i sztuką ludową.

¹ J. Deresiewicz „Materiały do dziejów chłopstwa wielkopolskiego” t. I Warszawa 1956, s. 349 i in.

² M. Gładysz „Zdobnictwo metalowe na Śląsku” Kraków 1938, s. 89.

Z zainteresowaniem przeczytałem w tegorocznym marcowym numerze „Ziemi” artykuł Jakuba Antoniu-ka „Tajemnica Diabelskiego Stawu”. Autor snuje swoje rozważania na temat genezy tzw. Jeziora Zygmunta Augusta, położonego w pobliżu Knyszyna (woj. białostockie) w dolinie Nereśli. Przytacza legendy związane z nim i z ich pomocą, a także z pomocą znanych mu źródeł historycznych stara się wyjaśnić zagadkę powstania stawu. Pozwolę sobie dorzucić parę uwag.

W 1509 r. dobra goniądzko-rajgrodzkie po ucieczce ich właściciela księcia Michała Glińskiego, zostały nadane Mikołajowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu. Rozwinął on w nich szeroką akcję osadniczą. Kolonizował jednak nie tylko swe ziemie, ale również wdzierał się w puszcze królewskie od wschodu i południa, m. in. w okolicę dzisiejszego Knyszyna. Dużo upłynęło lat, nim zwrócono na to uwagę. Dopiero w 1536 r. wysłano specjalną komisję, która odebrała przywłaszczony teren i ustaliła granicę dóbr radziwiłłowskich mniej więcej wzdłuż granic różnych rzek i rzeczek. Biegła ona w swojej części południowej rzeką Nereślą, przez teren późniejszego stawu. W opisie granicy w tym miejscu wspomniano tylko o ujściu rzeczki Przytulanki (dziś zwanej na mapach Tyrganką) do Nereśli. Nie było w tym miejscu jeszcze żadnego stawu. Pierwszy staw komisarze ustalający granicę napotkali znacznie dalej na południe w pobliżu Boguszewa, tam gdzie dziś jest wieś Lewonie. Z odebranych ziem utworzono osobny, z główną siedzibą w Knyszynie, kompleks dóbr, który otrzymał Zygmunt August. Ciągnął się on pasem od granicy krzyżackiej i jeziora Necko aż po Narew, zajmując północno-wschodnią część ówczesnego woj. podlaskiego. W 1571 r. przed śmiercią Zygmunta Augusta podzielono dobra knyszyńskie na dwa oddzielne starostwa: augustowskie i knyszyńskie. Do tego czasu, choć były wydzierżawione, to jednak znajdowały się pod bezpośrednim nadzorem króla. W czasie jego młodości Bona, później on sam, a ściślej z ich ramienia dzierżawcy (starostowie) dóbr knyszyńskich prowadzili w dalszym ciągu ożywioną akcję kolonizacyjną. Wycinano lasy i zakładano wsie. Zwrócono również uwagę na dogodne warunki dla bardzo dochodowej hodowli ryb i w tym celu w pobliżu Knyszyna zaczęto zakładać staw. W tym samym przecież mniej więcej czasie (1569 r.) dokładnie opisano jezioro zagubione w prawie bezludnej puszczy, której pozostałą część nazywamy dzisiaj Puszcza Augustowska. Wyliczono przy każdym z nich ilość toni i jakie żyją w nich ryby. Może wtedy, ale chyba już wcześniej, zorganizowano na tych jeziorach stałą służbę rybacką z niewodniczymi na czele. W inwentarzu z 1561 r. podano na temat knyszyńskiego stawu, że „zaczęto go niedawno za dzierżawy p. Chwalczewskiego” (był on starostą knyszyńskim od 1553 r.). Przeszkodą jednak były tu obce grunta graniczące z dobrami knyszyńskimi wsi Strzeżewo, inaczej zwanej Czechowczyzną (tak we wszystkich źródłach archiwalnych do połowy XVII w., dopiero od tego czasu jest nazywana Czechowizną). Swą nową nazwę wieś Strzeżewo otrzymała od Jakuba Czecha, który ją dostał na własność w 1545 r. z dóbr goniądzkich od nowego posiadacza dóbr radziwiłłowskich Stanisława Dowoyny, wojewody połockiego, męża Petroneli Radziwiłłówny. Radziwiłłowie i ich spadkobiercy oraz królowie nadali sporo wsi w okolicy Knyszyna i Goniądza różnym osobistościom i drobnej szlachcie mazowieckiej. Stąd też niejedna wieś zmieniła swą nazwę. Aby uzyskać Strzeżewo Zygmunt August zamienił się z jej ówczesnym właścicielem Maciejem Siekluckim. Dał mu za Strzeżewo-Czechowczyznę wsie Sollstówkę i Wólkę (zaginiona) w pobliżu Rajgrodu we włości augustowskiej. W dokumencie zamiany (pochodzi on dopiero z 1568 r.) król wyraźnie powiedział, że grunta tej wsi są potrzebne pod zalew „per piscinam nostrum noviter factum”.

Wątpię, czy ten staw kopano. Zapewne tylko od strony odpływu usypano tamę i zastawiono rzekę Nereśl, a cała naturalna dolinka wypełniła się (tak jak zapewne wypełniała się w czasie wylewów wiosennych) wodą z kilku rzeczek do niej wpadających. Stąd też nieregularny kształt stawu i brak śladów usypanej ziemi. Chyba jest zrozumiałe samo przez się, dlaczego założono go tu, a nie pod rezydencją knyszyńską. Warto zauważyć, że na terenie dóbr knyszyńskich założono jeszcze kilka innych stawów. Ten był jednak wyjątkowo wielki. Staw nazywano Augustem, Augustowskim, Stawem Wielkim, oraz Czechowskim lub Czechowizną, od miejsca swego położenia. Niech porównanie dochodu z tego stawu z dochodem z folwarku knyszyńskiego z 1602 r. świadczy, jak rentowny był ten staw. Folwark za sprzedaż zboża i bydła dawał rocznie 681 złp. 25 gr, a „Staw Wielki zwany August” — rocznie 400 złp.

A więc jak widzimy, przyczyna założenia stawu była bardzo prozaiczna — chodziło po prostu o zwiększenie dochodów skarbu królewskiego!

Również i okoliczności powstania stawu zapewne nie były tak romantyczne, jak opowiada legenda, a nazwa Czechowizna nie ma nic wspólnego z jeziorami czeskimi czy królową — Czeszką lub jej czeską służką. Tak mówią źródła historyczne, lecz legenda jest zawsze silniejsza i zapewne będzie dalej głosiła swoje. W legendach nieraz bywa większa lub mniejsza część prawdy. I tak zapewne legenda o „Stawie Diabelskim” może ma rację głosząc, że przy jego budowie posłużono się podpaleniem torfowiska.

Należy wyrazić podziękowanie autorowi, że zwrócił uwagę na ten chyba najstarszy tak wielki sztuczny zbiornik wody na ziemiach polskich.

Na zakończenie jeszcze jeden drobiazg. Dworzani



(nie pokojowiec) królewski Mikołaj zwał się Mniszech (znana rodzina magnacka) a nie Mniszek.

Przy sposobności chcę dodać uwagę do poprzedniego artykułu J. Antoniu-ka „Fortyfikacje generała Rose” (Ziemia nr 2/16). Spór o nasyp ziemny w dolinie Narwi pod Kruszewem (grodzisko czy reduta nowożytna) został już rozstrzygnięty. Najlepszy znawca okresu wczesnośredniowiecznego tego terenu, Aleksander Kamiński, korzystając również z oceny swej żony, archeologa, doc. Janiny Kamińskiej pisze: „jest to typowe pięciokątne oszańcowanie nowożytne z bastionami, prawdopodobnie z XVII w.” (Z badań nad pograniczem polsko-rusko-jaćwieskim w dolinie rzeki Sliny, „Wiadomości Archeologiczne” t. XXIII, zes. 2, Warszawa 1956, s. 134).

JERZY WIŚNIEWSKI

PODKNYSZYNYM

ZAGADKA MANIERYCZ NEJ SYNAGOGI

ziemia NIKT JESZCZE
O TYM NIE PISAŁ

„Maniera”, to nic innego, jak tylko „sposób”. Praktycznie i w powszechnym użyciu słowo to nabrało wielu innych znaczeń i odcieni. Zaanektowała je także historia sztuki, nazywając m. in. manieryzmem ów szczególny sposób budowania, który z renesansowych członów tworzył nierenesansowe całości.



Szczyt zachodni synagogi w Lesku. Zdjęcia autora

nego prostokąta z przybudówkami, jednonawowa. Główny korpus budynku ujęto w narożach w wydatne szkarpy. Wnętrze — to hala nakryta pozornym (z desek i trzciny), spłaszczonym sklepieniem zwierciedlanym. Oświetlają ją półkoliście zamknięte okna, umieszczone wyso-

mężczyznami na terenie bóżnicy) — skąd wniossek, że przybudówka mieszcząca kobiecą salę modlitewną wzniesiona została równocześnie z głównym korpusem synagogi. Na gzymsie tym wsparty jest pas profilowanych, półkolistych arkadek, dzielonych potrojonymi, nałożony-

Widok ogólny bóżnicy w Lesku od strony południowo-zachodniej.

nia, które łączy ponad oknami nieproporcjonalnie wątki gzymsu.

Wszystkie te elementy są w zasadzie renesansowe — a jednak zbudowana z nich całość nie mieści się już w ramach estetycznych założeń renesansu. Gzyms górny jest wydatniejszy, cięższy optycznie od dolnego; już samo to odwrócenie akcentu statycznego daje efekt „manieryczny” — a rzecz się na tym nie kończy. Oto w porządku renesansowym leżała harmonijna współzależność elementów dźwigających i ciężarowych — zupełnie przekreślona w architektonicznych podziałach ścian synagogi leskiej. Wydatne półkolumny flankujące okna trafiają tu w przedłużeniu nie na nasadniki pilasterów pasa arkadowego, lecz w miejsca najzupełniej przypadkowe i dowolne. Istnieje więc wprawdzie pewna całość kompozycyjna, ale kompozycja ta jest rozbita, skłócona wewnątrz i jakby „postawiona na głowie”: części górne ciąży nad dolnymi, pas arkad zamiast wspierać wyżej umieszczone podziały ścian — wydaje się podwieszony pod nimi, kolumnowo-pilasterowe obramienia okienne mają wygląd elementów przeznaczonych do dźwigania — a w rzeczywistości niczego nie dźwigają.

Fragment elewacji zachodniej po częściowym wyburzeniu. Fot. G. Faryszewska



O synagodzie w Lesku nikt jeszcze dotąd nie pisał. A szkoda, gdyż jest to jedna z ciekawszych polskich bóżnic.

Usytuowano ją na stoku wzgórza za północno-zachodnim blokiem zabudowy rynkowej; materiałem były otoczaki rzeczne i kamień łupany z niewielkim dodatkiem cegły, której użyto do formowania ościeży okiennych i architektonicznych szczegółów wnętrza. Całość jest zwrócona ścianą oltarową ku wschodowi, wzniesiona na planie wydłużo-

ko ponad poziomem posadzki. Są one zgrupowane symetrycznie po trzy w ścianach południowej i północnej, oraz po dwa — w szczytowych ścianach wschodniej i zachodniej.

Architektoniczny podział ścian wnętrza jest wyjątkowo rozwinięty. Wnętrze obiega profilowany w cegle i tynku zdwojony gzyms. Wygina się on płynną linią ponad łękami okienek sali modlitwowej dla kobiet (które zgodnie z rytuałem żydowskim nie mogły się stykać z

mi na siebie pilasterkami o toskańskich kapitelach. Pilasterki te są z kolei przedłużone nasadnikami, dźwigającymi drugi, o wiele wydatniejszy i bogaciej od dolnego profilowany gzyms. W górnej części ścian — okna; każde z nich z osobna ujęto w pilastry i nałożono na nie wydatne półkolumny, wsparte za pośrednictwem baz na górnym gzymsie pasa arkad. Kolumny te zwieńczone są dużymi, potrojonymi nasadnikami, powstałymi z przełamanych odcinków belkowa-



A więc — właśnie manieryzm. Ten sam, który obserwuje się np. w arkadowym dziedzińcu jednego z mieszczkańskich domów przy ul. Kanoniczej w Krakowie, gdzie na przykład prawidłom statyki cięższe optycznie filary ustawiono na piętrze, zaś lżejsze kolumny — w parterze; ten sam, który twórcy wawelskiej kaplicy Padniewskiego kazał poprzestawiać elementy funkcjonalne na bębnie kopuły.

To samo zjawisko obserwuje się w ołtarzu i w pierwotnych, dziś już nieistniejących, ale znanych z rysunku Kielesińskiego (r. 1838) szczytach synagogi leskiej. Jej ołtarz, pomijając pewne szczegóły, jest uproszczoną kopią ołtarza słynnej renesansowej synagogi Złotej Róży we Lwowie — ale wkomponowano go w podziały ściany w ten sposób, że właściwie nie można tu już mówić o renesansie. Oto stojące po bokach ołtarza kolumny toskańskie wspierają się na nieproporcjonalnie wą-

tynkową imitacją gwoździ w narożach.

Warto zwrócić uwagę na inny jeszcze bardzo ciekawy szczegół, a mianowicie wieżę przystawioną do narożnika południowo-zachodniego. Dziś jest ona niska, nie sięga nawet krawędzi okapu dachowego ale jeszcze na rysunku Kielesińskiego z r. 1838 jest zupełnie inaczej. Okazuje się, że górna okrągła część nawy zwieńczona namiotowym hełmem — sięgała pierwotnie ponad kalenicę dachu; a dach — wraz ze szczytami — był kiedyś także o wiele wyższy. Otóż niskie wieże dostawiane do naroża budynku spotyka się w synagogach dość często; mieściły one zwykle klatkę schodową. W pierwotnej wysokiej wieży synagogi leskiej brak jakichkolwiek śladów istnienia klatki schodowej, są natomiast ślady podziału na kondygnacje. Czy więc mogła to być wieża obronna?

Dawne postanowienia synodów

ską parterową dobudówką kobiecej sali modlitewnej — funkcji obronnych spełniać nie mogła. Tym samym obronność całego założenia synagogałnego staje pod znakiem zapytania.

A więc — zagadka. Trudno ją rozwiązać. Jeśli bowiem synagoga nie była włączona w miejski system obronny — niezrozumiałą staje się budowa wysokiej wieży w fasadzie frontowej wbrew obowiązującemu i egzekwowanemu zwykle bardzo rygorystycznie prawu.

Kiedy dokładnie powstała synagoga leska i kto ją budował — nie wiadomo, gdyż archiwalia są wyjątkowo skąpe. Sądząc po szczegółach architektonicznych — mogła ona powstać w pierwszej połowie w. XVII. Dziś jest ruiną; zniknęło piękne wyposażenie wnętrza, rokokowe żyrandole i kuta w żelazie krata „bimy“, przegniło wiązanie dachowe, dobudówki przy elewacji zachodniej mieszczące przedsionek i skład



Narożnik północno-wschodni. Fot. G. Faryaszewska. Po lewej: synagoga przed przebudową. Widok od południowego wschodu wg rysunku Kielesińskiego r. 1838. U dołu: wnętrze synagogi, ściana wschodnia z ołtarzem.

paramentów synagogałnych zostały częściowo rozebrane, zaś dobudówkę północną wyburzono doszczętnie. Dopiero w r. 1957 rozpoczęto tu prace konserwatorsko-remontowe. Warto było — bo synagoga leska jest naprawdę jednym z najciekawszych przykładów polskiej architektury synagogałnej — podobnie jak leski cmentarz żydowski (o którym pisaliśmy już w „ZIEMI“ nr 3/57) jest jednym z najciekawszych zespołów plastyki żydowskiej. Na terenie Rzeszowszczyzny synagoga leska jest unikatem, jedynym przykładem założenia szczytowego, dysponującego tak bogatym wystrojem architektonicznym wnętrza; pozostałe bożnice województwa rzeszowskiego należą bowiem do popularnego typu centralnych synagog „dziewięciopółowych“ budowanych w epoce baroku. Przede wszystkim zaś — jest to jedna z bardzo niewielu synagog ozdobionych pierwotnie bogatymi szczytami o typie „kościelno-pałacowym“. I chyba jedyna znana dotąd synagoga „manieryczna“.

tłym dolnym gzymsie pasa, zaś przedłużona ku dołowi wnęka ołtarzowa gzyms ten zupełnie przelaminuje. W wyniku ołtarz zdaje się „wisieć“ na ścianie — i znowu powstaje efekt manieryczny.

A teraz wyjdźmy na zewnątrz. Pierwotne szczyty synagogi posiadały faliste sploty wolutowe zwieńczone wazonami; jest to chyba jedyny w polskiej architekturze synagogałnej przykład zastosowania tego rodzaju ozdobnych „kościelno-pałacowych“ szczytów. Podobne posiadał pałac Myszkowskich w Książu Wielkim, czy też kościół parafialny w Dynowie koło Przemyśla; nie są to już szczyty renesansowe. A w szczycie zachodnim synagogi leskiej, przebudowanym (wraz ze szczytem wschodnim) w drugiej połowie w. XIX — zachował się do dziś jeszcze jeden charakterystyczny szczegół. Jest to płytcina z hebrajskim napisem: „JAKŻE STRASZNY JEST TEN DOM — DOM BOGA“ — jakby podwieszona za pomocą renesansowego ornamentu pod obramieniem okienka strychowego. Szczegół to chyba nie pierwotny, może tylko powtórzony za jakąś starszą formą przy przebudowie szczytu — ale powtórzony zapewne wiernie, utrzymany konsekwentnie w manierycznej konwencji stylowej. Jego twórca zdawał sobie sprawę z tego, że owa płytcina „wisi“ na ścianie, skoro uznał za potrzebne pozorne „przybicie“ jej

zabraniały kategorycznie stawiania synagog „na kształt kościoła“; zabronione było tym samym budowanie synagog wieżowych — a obostrzenia szły nawet tak daleko, że synagogi nie mogły przerastać wysokością kościołów i nie mogły posiadać ozdobnych fasad (który to zakaz w synagodze leskiej ominięto). Jedynym dopuszczalnym i praktykowanym wyjątkiem był wypadek, gdy budynek synagogałny wchodził w linię obwarowań miejskich, albo też pełnił funkcję osobnego zespołu obronnego. Wówczas zezwalano na opatrzenie synagogi obronną wieżą — tak, jak się to stało np. w Łucku na Wołyniu, gdzie dokument erekcyjny zawierał osobną klauzulę, usprawiedliwiającą wzniesienie wieży obronnej przy synagodze. W Lesku sprawa ta jest jednak bardzo skomplikowana. Usytuowanie synagogi w stosunku do miasta jest takie, że hipotetyczna linia miejskich obwarowań objąć by mogła jedynie zachodnią elewację synagogi wraz z wieżą obronną, zaś cały korpus budynku pozostawałby poza linią umocnień, tworząc coś w rodzaju wysuniętego bastionu. Elewacje południowa i wschodnia budynku — wyniosłe dzięki znacznemu spadkowi zbocza wzgórze (czego na rysunku Kielesińskiego nie zaznaczono) możnaby ostatecznie uznać za dostosowane do spełnienia funkcji obronnych, natomiast elewacja północna z ni-



T A D E U S Z Ż Y C H I E W I C Z

MAUZOLEUM PIASTÓW

Krzyszów był na terenie Śląska jednym z największych i najbardziej wpływowych ośrodków klasztornych. Założony w r. 1242 przez św. Jadwigę wdowę po ks. Henryku Pobożnym i pierwotnie przeznaczony dla benedyktynów, już w r. 1292 — za sprawą piastowskich księząt świdnickich — przechodzi w posiadanie Cystersów przybyłych tu z pobliskiego Henrykowa.

Nie miejsce tu na dłuższe opisywanie dziejów opactwa, które z biegiem czasu stało się właścicielem ogromnych terenów rozciągających się między Świdnicą, Dzierżoniowem, Strzegomem i Jelenią Górą, które stało się ważnym ośrodkiem kulturalnym i artystycznym, które wywierało ważny wpływ na dzieje całej śląskiej dzielnicy. Ta część historii kończy się w r. 1810 z chwilą kasaty klasztoru. Dziś Krzyszów jest niewielkim osiedlem w pobliżu Kamiennej Góry i tylko wspaniałe kościoły oraz olbrzymie bloki dawnego opactwa świadczą o minionej świetności.

Obecna świątynia pochodzi z lat 1728—34, z czasów opata Innocentego Fritscha i jest dziełem architekta Antoniego Józefa Jentscha. Nie wykluczone że „abrys” przygotowany został przez znakomitego rzeźbiarza praskiego Maksymiliana Brockhoffa. Z kościołem łączy się (poprzez prezbiterium) słynne mauzoleum piastowskie — tworzące wewnątrz tego barokowego kolosu osobny jak gdyby organizm.

Mauzoleum to wzniesione na rzucie zdwojonej rotundy (dwa połączone, przecinające się koła) było w surowym stanie gotowe w r. 1735. W następnym roku wykonuje w nim dekorację w stiuku i sztucznym marmurze Ignacy Albert Provisor, zaś dwie kopuły wypełnia freskami Jerzy Wilhelm Neunberz wnuk słynnego Michała Willmanna. W r. 1738 przeniesione tu zostają prochy książęcych fundatorów. Było ich trzech ze świdnickiej linii Piastów: Bolko I (zm. 1301), Bolko II Mały (zm. 1367) i Bernard Stały (zm. 1326). Wśród olśniewającego przepychu barokowych rzeźb i malowideł zwracają na siebie uwagę dwie proste marmurowe tumby nagrobków. Z nagrobka Bolka I ocalała tylko postać zmarłego — tumba jest nowsza, natomiast sarkofag Bolka II zachował się w niemal pierwotnej formie: na płycie leży książę w zbroi

TEKST I ZDJĘCIA TADEUSZ CHRZANOWSKI

Po prawej: nagrobek Bolka II Małego, księcia świdnickiego. U dołu: Archanioł Rafał — „Pielgrzym”. U dołu po prawej: Beatrix Brandenburska, żona Bolka II. Po prawej: supraporta.





MAUZOLEUM PIASTÓW

U góry: fragment dekoracji kopuł — na pierwszym planie opat Innocenty Fritsch akceptuje plan budowy krzeszowskiego kościoła. Poniżej: plan Mauzoleum. Obok: „Wisja Boga”, alegoria. Po prawej: fragment wnętrza z posągami Archanioła Michała. Po prawej: symbole wieczności i przemijania na nagrobku księcia.



rycerskiej z tarczą na której rozpina skrzydła śląski piastowski orzeł. U stóp księcia pies i lew — symbole wierności i męstwa. Na bokach sarkofagu płaczkowie przedstawiający rodzinę księcia i wysokich urzędników dworskich. Sarkofag Bernarda uległ zniszczeniu już w XVII w. Pomiędzy nagrobkami w przecięciu rotund a naprzeciwko ołtarza głównego wspaniały pomnik barokowy kryje prochy książęce. Doskonale rzeźby kontrastujące swą bielą z czernią tablic inskrypcyjnych symbolizują wieczność i przemijanie. Przemijanie — to płaczące dziecko, które wskazuje mitrę księżęcą — to wszystko co pozostało po zmarłym. Wieczność — piękna kobieta jedną ręką dotyka czaszki, drugą wyciąga do nieba, gdzie umarłych czeka byt nieprzemijający.

Niespośród opisać szczegółowo wszystkie rzeźby, malowidła, wszystkie inskrypcje i symbole. W tym zachwycającym, wielobarwnym wnętrzu przenikają się w cudowny sposób nie tylko kolory, nie tylko światła i cienie ruchliwych, niespokojnych przestrzeni — przenikają się tu również symbole: całość koncepcji mauzoleum przeniknięta jest bowiem i podporządkowana jednej idei — tej właśnie która mówi o przemijającej świetności doczesnego oraz wiecznej radości przyszłego życia.

W cichym osiedlu śląskim leżącym poza głównymi trasami turystycznymi, w spokojnej dolinie wciśniętej między grzbiety Sudeców znajduje się jeden z największych artystycznych skarbów baroku, baroku o którym można śmiało powiedzieć, że jest śląski — choć działali tu artyści przybyli znan Włochy i Dunaju. Barok ten jednak czerpiący z najżywoźniejszych ośrodków Europy, stopił się tu — w Krzeszowie — z miejscową tradycją i zrodziła się zeń najświetniejsza pamiątka piastowskiej epoki tych ziem.

(Dane do powyższej notatki czerpałem z przewodnika, który jest zarazem najobfitszym materiałem historyczno-źródłowym dla Krzeszowa: P. Nikolaus v. Lutterotti O. S. B. — ABTEI GRUSSAU. III. wyd. Krzeszów 1941).



ŁĘCZNA

TEKST I ZDJEŃCIA JÓZEF TOMASZ FRAZIK

Spiętrzone skarpy obu rzek tworzą suchą, zbitą platformę. Umieszczona wysoko nad zwierciadłem wód, dała ona doskonały grunt budowlany, a dobre nasłonecznienie terenu i urodzajna gleba tym bardziej sprzyjały powstaniu osiedla. Zresztą i sama okolica jest naprawdę piękna. Rozległa dolina, ryta przez tysiąclecia w lessie, swobodna wstęga wód, kilkunastometrowe, wyniosłe brzo- gi i spowite kobiercem zieleni i kwia- tów żółte jary — tworzą malowniczą oprawę dla niskiej, białej, mocno dziś poszczerbionej i odrapanej zabudowy miasteczka. Drobne domy o przysadz- istych dachach układają się jak paciorki na olbrzymiej skarpie w spokojny rytm. Jedyne dominanty panoramy miasteczka, tak doskonale „współżyją- cego” z krajobrazem, to trójkątny szczyt kościoła i mocna bryła bóżnicy. 24 km na wschód od Lublina, na po- dłużnym cyplu w widłach Wieprza i Swinki, leży miasteczko o nazwie Łęcz- na. Nic dziwnego. Tu bowiem zbiega się szereg lokalnych dróg, które do- piero pod koniec ubiegłego wieku stra- ciły swą ważną rolę, jaką odegrały w dziejach miasta.

PRYWATNE OPPIDUM

Wrzeczionowaty plan miejscowości oraz jej sytuacja w geografii politycz- nej Polski wczesnośredniowiecznej, poz- wala domyślać się, że stała osadę zorgan- izowano tu w XI względnie XII wie- ku, jako punkt strategiczno-gospodar- czy, pośredniczący między Rusią a Lu- belszczyzną. Przepuszczalnie otwarty ośrodek rzemieślniczo-handlowy znaj- dował się pod opieką niewielkiego, granicznego gródka. Na przełomie XIV—XV wieku w owalnicowy plan zostaje wrysowany nowy organizm. Jest nim szachownicowe miasto gotyc- kie, którego centrum stanowi rynek z kościołem parafialnym. Jak wyglądało bliżej owe prywatne oppidum Goraj- skich, a później Tenczyńskich? Tego niestety nie potrafimy powiedzieć. Czy było otwarte czy obmurowane? Jak wyglądał istniejący za Świnką zame- czek — nie wiadomo. Milczeniem po- mijają te szczególnie ciekawe dziś dla nas okoliczności wszystkie notatki związane z Łęczną, a śladów w tere- nie brak. Sam sposób życia ludności wydedukować można z późniejszych ksiąg radzieckich, opowiadających bar- wnie o intercyzach, transakcjach, a najczęściej o wszelkiego rodzaju bój- kach i skandalicznych sprawach. Wśród mrowia wielec chaotycznego, a cieka- wego dla historyka obyczajów mate- riału wylawia się jakieś ogólne dane dotyczące rozwoju miasta charakteru za- budowy oraz jego podstaw gospodar- czych i prawnych. Stąd dowiadujemy się że „Civitas” rządziła się prawem magdeburskim, a jej mieszkańcy, zor- ganizowani w cechy, zajmowali się rzemiosłem i handlem. Południową część miasta zaludniały rodziny o pro- fesji rolniczej. Uprawiano tu na sze-

roka skalę chmiel, który po dziś dzień zajmuje poważne miejsce w produkcji krajowej. W życiu społecznym wiede- lny wzbogaceni piwowarowie, rzeź- nicy i handlarze bydłem. Sute docho- dy przynosiły im dwa duże jarmarki. Cóż, kiedy ciągłe wędrówki kupców były rozsadaniami chorób epidemicz- nych, toteż ludność raz po raz dzie- siątkowały zarazy. Jedyłą profilakty- czną instytucją był szpital Św. Ducha, związany z kościołem o tej samej na- zwie.

RZECZPOSPOLITA ALIAS MIASTO

Wiadomo jest powszechnie, że z koń- cem XVI i w I poł. XVII w. między Wisłą a Wieprzem rozgrywał się rzad- ko spotykany wyścig budowlany. Za- kładano nowe miasta, budowano zamki, pałace i przeróżne świątynie. W owym kręgu posiada niepoślednie miejsce i Łęczna. W tym czasie miasto zmienia diametralnie swój wygląd. W starym, drewnianym zespole powstaje szereg okazałych budowli murowanych, jak: kościół parafialny (1618), mansjonaria (1647), bóżnica (1648), możliwe, że i ratusz dziś już nieistniejący, oraz oka- zały zamek, stała siedziba właściciela Adama Noskowskiego, podkomorzego lubelskiego, męża Katarzyny z Dąbro- wicy Firleyówny. Odbudowano też szpi- talny kościółek Św. Ducha, konsekru- jąc go wraz z farą w 1631 r. Przy ulicy Ruskiej stała cerkiew.

Z pewnością wtedy musiały nastą- pić zmiany w strukturze miasta. W pe- wnym oddaleniu od traktów tranzyto- wych, w pobliżu skarpy północnej wy- tyczono nowy ośrodek handlowy, rynek II, o obszernych wymiarach 105×80 m, z ratuszem i kramnicami, zwanymi kletkami po środku. W la- tach 1610—1655 „Rzeczpospolita alias miasto Łęczna” rosła. Noskowski, chcąc dorównać przynajmniej po czę- ści splendorem dumnej rodzinie żony, poświęcał miasteczku wszystkie swe siły i całą inwencję. Rozumiejąc do- godne pod względem handlowym po- łożenie swej posiadłości, ubiega się u króla o przywilej na jarmarki. Wład- dysław IV dnia 30 kwietnia 1647 r. ustanawia trzy rocznie. Przynoszą one teraz mieszczaństwu i właścicielowi du- że zyski. Czytając księgi sądowe, na każdym kroku widzi się wielki dobro- byt. Ludzie żyją goniwą za lepszym zarobkiem, codzienną plotką, swarami. Nikt nie przeczuwa, że zbliżają się chwile wielkiego kryzysu.

„SIŁA PŁACÓW PUSTYCH ZOSTAWA”

W połowie XVII w. Łęczna przeży- wa katastrofę. Uszczuplenie praw miejskich na rzecz szlachty, najazd Szwedów, pożary i pustoszące cały kraj zarazy — to główne przyczyny upadku i tego miasta. W aktach kon- sularnych po roku 1660 czytamy: „Si- ła placów pustych zostawa” a w roku



Kolejno od góry: bóżnica w Łęcznej. Jarmark w Łęcznej wg obrazu J. Nor- blina z r. 1803. Uliczka wychodząca z rynku. Fot. J. T. Frazik.



ŁĘCZNA

1670 Ulryk Werdm, szpieg króla francuskiego tak pisze o Łęcznej: „Jest to zamek. Należy dziedzicznie do starosty Firleja po żonice, leży na wysokiej górze, otoczony z dwu stron rzeką Wicprzem. Przecprawia się tutaj przez nią na promie. Otwarte miasto, leżące obok, było zupełnie spustoszone. Tylko kościół z włoską z kamienia zbudowany, był jeszcze in esse...”

Zdawałoby się, że tak zniszczony organizm stanie się wkrótce jedną z bezimiennych, zapomnianych osad. Jednak potrzeby i zaplecze gospodarcze były zbyt silne. Na tle ogólnego zubożenia kraju, w okresie przed i porobiorowym państwa, Łęczna odradza się i przeżywa — co najciekawsze — „złoty wiek” swoich dziejów. Nie bez znaczenia w tym przypadku jest też szczególny zbieg okoliczności: August II, by zapobiec ciąglemu szerzeniu się epidemii w Lublinie, przenosi całkowicie do Łęcznej jarmarki bydłowe, których liczba wzrasta do sześciu w roku, z tych dwa wiosenne i jesienny, trwają po „dwie niedziele”. Na przełomie XVIII i XIX w. wielkie targowisko łączyńskie nabiera rozgłosu światowego. Handlują tu Niemcy, Grecy, Ormianie, Turcy, Persowie, Rosjanie. Cały Wołyń, Podole i Ukraina dostarczają bydło na sprzedaż. Rokrocznie przez targowice tysiącami przepływają stada koni rasowych i gospodarskich, owiec, wołów i świń.

JARMARCZNE ZAJAZDY

Jarmarki wywołują nowe zmiany w konstrukcji miasta; szereg zespołów musi być przystosowany do zgromadzenia na swych placach i przepuszczenia w dogodnych warunkach dużej ilości bydła i wozów. W tym celu adaptuje się rynek II i I, oraz tworzy rynek III, ulicę Nową i Kanałową. Miasto z tego okresu cechuje logika dużych rynków i szerokich ulic. Nawet architektura drewnianych domów wyraźnie spełnia wyznaczoną całemu miastu funkcję. Celem doraźnego pomieszczenia mrowia ludzi i zaprzęgów, domy mieszkalne przekształcają się przeważnie na domy-hotele. Założone na prostokacie o wymiarach 10×14,5—11×15 kryją pod swym gontowym przysadkowatym dachem czterospadowym dwa małe alkierze, dużą „stancję”, oraz obszerną sić zajazdną. W czasie jarmarków właściciel wraz z rodziną gromadził się w jednej z najmniejszych izb, resztę zaś za sułą opłatą wynajmował gościom. Sienie służyły za miejsce postoju zaprzęgów.

Z roku 1803 zachował się ciekawy obraz Norblina zatytułowany „Foire de Lenczna”. Malarz daje nam wiarygodne zdjęcie sceny jarmarcznej. Obok sceny rodzajowej widzimy jej tło — bogatą, nicistniejącą dziś architekturę. Z prawej strony wznoszą się piętrowe

i dwupiętrowe kamienice o charakterze XVIII-wiecznym, z lewej zaś rozsiadła się monumentalna bryła ratusza. W głębi na osi obrazu widać podcieniowe, drewniane domki, kryte gontowymi czterospadowymi dachami i kościół Św. Ducha. Obraz Norblina, pełen barwnego tłumu pieznych i jezdnych, wymownie ilustruje znaczenie Łęcznej na terenie Lubelszczyzny w tym czasie. Jest jeszcze jednym świadectwem szczególnej roli, jaką na skutek sprzyjających warunków ekonomicznych odgrywało to przeciętne dziś polskie miasteczko, „dziura” pospolicie zwane.

ŁĘCZNA DREWNIANA

Przełomowy w dziejach miasta był rok 1846. W dniu 22 listopada tego roku wybuchł pożar, podsycany gwałtownym wiatrem; strawił całą dzielnicę żydowską, a więc rynek II, III i częściowo I, ulicę Nową, Rynkową, Bożniczą. Po pożarze miasteczko zmieniło zdecydowanie oblicze. Podobnie jak jego dalekie peryferie — było drewniane. Na rynku głównym (I) od roku 1834 nie istniał już kościół Św. Ducha, a nadwyrężony ogniem ratusz rozebrano, pozostawiając tylko jedną jego dobudówkę — „cekhauz”. Pierzeję wschodnią, północną i zachodnią obudowano kalenicowo i szczytowo domami podcieniowymi, od południa postawiono również podcieniowe „podtasy” — jatki. „Całe to drewniane miasto mogło wtenczas obejść w deszcz nie zmoczywszy sobie nogi” — mawiają jeszcze dziś starzy ludzie. Ulice peryferyjne zabudowano uświęconymi tradycją domami zajazdnymi ze „stancją” i dużą sienią. Ową architekturę połowy ubiegłego stulecia pochłonęły następne pożogi. I tak, w roku 1870 spłonęły rynek II i III, w latach zaś 1915 i 1939 rynek I oraz zabudowania ulicy Pańskiej. Odbudowa na tych odcinkach poszła w kierunku wznoszenia budynków najczęściej murowanych, bezstylowych, niezgodnych z miejscowymi tradycjami.

Ostatecznie upadek Łęcznej spowodowały przede wszystkim nowoczesne przemiany gospodarcze. Centralizacja handlu i przemysłu, nowe środki transportu, usuwają w cień to małe miasteczko. Od połowy XIX w. sławne i tłumne jarmarki łączyńskie chyliły się gwałtownie ku upadkowi. Liczne dane statystyczne zawarte w dziennikach urzędowych i czasopismach, świadczą z roku na rok o spadku ich znaczenia.

Druga wojna światowa przyniosła nowe straty. W następstwie wymordowania przez okupantów hitlerowskich ludności żydowskiej, uległ zburzeniu niemal cały III rynek, spalili się cekhauz przerobiony na ratusz, poważnym uszkodzeniom uległa bóżnica.



Kolejno od góry: wnętrze bóżnicy. Plan Łęcznej wg stanu z r. 1952. Szczyt kościoła.

tu znacznie starsze trzeciorzędowe iły pliocenijskie, wypiętrzone koło Porzegowa do wysokości 132 m nad poziom morza. Gleby są na ogół lekkie. Dość często napotykanne piaski leżą na pokładach silnie spieczonych glin, zawierających stosunkowo dużo wapnia.

Największym jedn. bogactwem Wielkopolskiego Parku Narodowego jest jego żywa przyroda. Szatę leśną stanowią w znacznej większości bory iglaste z domieszką drzew liściastych, najczęściej dębów. Stosunkowo niewielkie są kompleksy lasów mieszanych a najmniejsze — jednolite lasy liściaste. Najbardziej zbliżone do stanu naturalnego są tereny leśne położone między jeziorem Kociołek a Góreckim, liczące około 170 lat oraz nieco mniejsza partia umiejscowiona na północ od jeziora Góreckiego. Oba kompleksy stanowią rezerwy ścisłe, pozostające pod obostrzoną kontrolą. Z drzew najczęściej spotykanych wymienić należy: sosnę, grab, dąb, brzozy i lipy. Z gatunków drzew w Polsce ginących i niezwykle rzadkich — klon polny czyli paklon oraz brząk lub inaczej zwana brekinia — bliski krewniak jarzębiny. Nie brak wreszcie w Parku drzew obcych, sztucznie przeniesionych na jego teren jak: świerku, akacji, dębu czerwonego, daglezi...

W skład parkowej flory wchodzi przeszło 900 gatunków dziko rosnących

na krzewianka zwana zimoziołem północnym, małatka rogownica drobnotkwatowa, różowy czosnek skalny i wiele innych.

Ozdoba jezior są rosnące tu w wielkiej ilości grzybienice białe zwane pospolicie liliami wodnymi oraz towarzyszące im żółte grązele. Muliście dna jezior pokrywa zwarty kobierzec osoki aloesowatej, której wąskie i kołące liście tworzą duże rozety. Jednymi z najbardziej interesujących roślin są odmiany mięsożerne. Na obszarze Wielkopolskiego Parku Narodowego znaleźć można bez trudu pływacza pospolitego — wysoko nad wodę wystającą roślinkę o dziwacznym kształcie, posiadającą na delikatnie porożcinianych liściach liczne pęcherzyki, stanowiące pułapki na drobne zwierzątka wodne. Równie ciekawą jest roślinka okrągłolistna, której liście pokryte są czerwonymi włoskami wydzielającymi lepki ciecz. W blasku słońca lśnią one wszystkimi barwami tęczy i wabią nieostrożne owady.

Podobnie bogaty i różnorodny jest świat zwierzęcy Wielkopolskiego Parku Narodowego, zwłaszcza gdy chodzi o bezkręgowce. Interesującym chyba jest fakt że samych tylko wyrosli czyli zniekształceń wywoływanych przez różne owady na rozmaitych roślinach zebrano w Parku przeszło 700 rodzajów na około 1000 wykrytych w całej Wiel-

Fot. W. Tomaszewicz

NAJPIĘKNIEJSZY ZAKĄTEK

44 minuty trwa podróż z Poznania do Osowej Góry — końcowej stacji kolejowej, położonej na południowo-wschodnim krańcu Wielkopolskiego Parku Narodowego — najpiękniejszego zakątka Ziemi Wielkopolskiej.

Pięć szlaków, przecinających Wielkopolski Park Narodowy, poprowadzi nas w mrok chłodnych borów i nad wody jezior, na ustronne żerowiska saren i jeleni, w rozświetlony raj ptaków.

Wystarczy jeden dzień, aby zwiedzić cały Park. Jego stosunkowo niewielka powierzchnia wynosi około 9 000 ha z czego połowa przypada na tereny zalesione. Na tym niedużym obszarze rozprzestrzeniają się wszystkie znane nam formy krajobrazu typu polodowcowego — moreny dennie i czołowe, podobne do nasypów kolejowych czy owalne wyniosłości zwane drumlinami, piaszczyste wydmy a w głębokich kotlinach, rynnach i nieckach błyszczą srebrne tafle około 40 zbiorników wodnych, jeziora, zarastające stawy i maleńkie, płytkie „oczka”. Południowo-wschodnia krawędź Parku opada ku szerokiej Pradolinie Warszawsko-Berlińskiej, której środkiem płynie wąska dziś wstęga Warty. Przed około 100 tysiącami lat wezbrane fale rzeki unosiły stąd wody topniejącego lodowca.

Z bezodpływowych najczęściej zlewisk, jakie otaczają od zewnątrz Wielkopolski Park Narodowy lub kryją się w jego wnętrzu, największym jest Jezioro Dymaczewskie o powierzch-

ni 137 ha, najpiękniejszym i najgłębszym — Jezioro Góreckie, najmniejszym i najpłytszym — Jezioro Skrzyńska. Oprócz nich w długich rynnach i kolistych nieckach błyszczą lustra jezior: Budzyńskiego, Jarosławieckiego, Witobelskiego, Kociołka, Lipna i wielu innych.

Urzekające piękno Jeziora Góreckiego doceniane już było przed wiekami. Na jednej z dwu wysp, które niby ogromne kępy wystają nad powierzchnią wód, możny ród Górków wzniosł w okresie średniowiecza warowny zamek, zburzony w XVII wieku przez Szwedów. W roku 1824 na ruinach stanął mniejszy zameczek myśliwski, należący do znanej patriotki wielkopolskiej — Kludyny z Działyńskich Potockiej. Ale i ta budowla nie ostała się długo. Zburzyli ją Prusacy w czasie Powstania Listopadowego, podejrzewając, że ukrywa się w niej dowództwo polskie. Dzisiaj przez ażur mocno przerzedzonej zieleni przecierają resztki ruin. Ogromne dęby, jakie do niedawna zdobiły wyspę, padły w latach ostatniej wojny pod ciosem siekier. Za to na przeciwległym brzegu, na szczycie ogolonej z drzew skarpy, pyszni się białą swych murów wspaniały pałac, wybudowany w czasie okupacji na letnią rezydencję hitlerowskiego namiestnika Artura Greisera. Stanowi on obecnie siedzibę Dyrekcji Parku.

Geologiczna struktura Parku jest wysoce urozmaicona. Obok utworów pochodzenia lodowcowego występują

roślin naczyniowych, około 276 gatunków glonów, 43 gatunki śluzowców, około 320 gatunków grzybów, 120 — porostów, 24 — wątrobowców i około 170 gatunków meków.

Do najcenniejszych a zarazem najrzadszych przedstawicieli świata roślinnego należą: wonny goździk siny znany z kilku tylko stanowisk w naszym kraju, podobny do poziomki pięciornik płony, bładoczerwony goździk kosmaty, delikatnie liliowy dzwonek boloński, znany nam z Tatr osiet dziewięcił bezłodygowy, różowy i pachnący jak wanilia wężymord stepowy, żółty jastrzębiec rozlogowy, niepozor-

okopolce. Okazuje się również, że teren Parku stanowi najbardziej na północ wysunięte stanowisko dla wielu owadów południowych np. dla świerszcza płamistoczelnego i sinicy zielonawej z rzędu prostoskrzydłych a z błonkówek — smukwy kosmatej, podobnej do osy klecanki, dręczka, opylca i innych. Południowym także owadem jest wielki pajak — tygrzyk paskowany polujący na ofiary na słonecznych brzegach lasów oraz bujnych łąkach.

Spośród kręgowców do dość częstych mieszańców lasów należą niektóre gatunki gadów i płazów: jasz-

Fot. M. Zalewski



WIELKOPOLSKI



ŁÓDŹ W STAREJ FOTOGRAFII

Łódź połowy XIX w. to już ósrodek przemysłowy. Co prawda, liczyła jeszcze skromne 20 000 mieszkańców i... 31 ulic, ale zdążyła się już wybić na czoło okolicznych miast fabrycznych. Przyczyniło się do tego m. in. szybsze niż gdzie indziej przestawienie się z produkcji przędzy lnianej i wełnianej na bawełnę. Łódź w tym czasie posiada blisko 2500 ręcznych warsztatów tkackich. Ponadto miasto w latach 50-tych ub. stulecia ma już wiele murowanych gmachów użyteczności publicznej i kilka okazałych budynków fabrycznych, a także kilkadziesiąt murowanych domków tkackich.

Fotografia Wł. Pfeifera przedstawia fragment Starego Miasta w Łodzi. Zdjęcie robione około 30 lat temu (reprod. ze zbioru Archiwum Państwowego). Po obu stronach Traktu Lutomińskiego (dzisiejszej ulicy Lutomińskiej) obserwujemy szeregi starych domków klasycystycznych z mansardami. Należały one do

pierwszych ceadników przemysłowych Łodzi. Byli to głównie sukiennicy, folusznicy i postrzygacze wełny, pościągani przez rząd Królestwa Polskiego z Wielkopolski, z okolic Zielonej Góry, ze Śląska, z Czech i Moraw. Domki wybudował dla nich rząd polski w latach 1823—1840, na dawnych parcelach „łyków” łódzkich.

Ulicę zamyka czerwony neogotycki kościół mariacki, wybudowany w latach 1868—1897, podobny nieco do katedry wrocławskiej. Przez jezdnię przechodziła łódzkie robotnice w typowych dla tych czasów grubych wełnianych chustach. W czasie ostatniej wojny, cały teren Starego Miasta w Łodzi był włączony do getta i uległ zburzeniu. Dziś zachował się tu jeden tylko domek sukiennika — pierwszy z prawej. Po obu stronach starego bruku wznoszą się już nowe, różowe bloki osiedla Staromiejskiego ZORU.

Zdzisław Konicki

czurka zwinka i żyworodka, padalec pospolity, zaskroniec i nieszkodliwa gniewosz miedzianka. Najbardziej interesującym płazem jest bardzo rzadko spotykana ropucha paskówka, charakteryzująca się tym, że nie potrafi skakać, lecz za to bardzo zwinnie biegnie.

Obfitość wód i lasów sprzyja rozwojowi ptactwa. Nad jeziorami dostrzec można wiele gatunków ptactwa wodnego — zwykle dzikie kaczki krzyżówki, perkozy dwuczube, kaczki rdzawogłowe, zgrabne kurki wodne, łyski, małe perkozy, czaple, bączki, derkacze. Wśród suwarów i trzciny trudno usłyszeć charakterystyczne rekotanie trzciniaka drożdówki a w głębi lasów

głośnie kucie największego w naszym kraju dzięcioła czarnego. Rzadziej występują w Parku świetnie upierzona kraska, płochacz pokrzywnica i zadmowione tu od niedawna gile. Z ptaków drapieżnych spotyka się myszolowy, sokoly kobuzy, kanie czarne, błotniaki stawowe, jastrzębie, krogulce i pustulki.

Ze zwierząt łownych wreszcie teren Parku zamieszkuje jelenie, sarny, dziki, zajęce, lisy i bardzo rzadkie borsuki.

Po 30 prawie latach starań Wielkopolski Park Narodowy doczekał się uzyskania statutu prawnego a w związku z tym pieczołowitszej niż dotychczas ochrony.

Fot. J. Myszowski

Fot. J. Czecz

PANIE REDAKTORZE

W marcowym numerze „Ziemi” znajdował się ciekawy artykuł T. Chrzastowskiego pt. „Chłopska nekropola” podający nazwiska „niemieckie” zmarłych pochowanych na cmentarzu w Ligocie Górnej. Znalezienie polskich nazwisk przez Niemców jest powszechnie znane, wystarczy przejść się po licznych cmentarzach Pomorza, Pomorza, Warmii i Mazur, żeby się przekonać naocznie, jak to wygląda. W lecie 1947 roku, wędrując z plecakiem po dawnych Prusach Wschodnich znalazłem w miasteczku Olsztynku, na ścianie kościoła dwie tablice żelwne, zawierające spis poległych parafian w wielkiej wojnie z 1914—1918 r. W nagłówku tablic napisano:

„Für Deutschland starben im Weltkrieg” i na 78 nazwisk poległych, połowa jest taka jak:

1. Karl Basel
2. Otto Basel
3. Karl Bełnarski
4. August Blandera
5. Herman Burdowski
6. Artur Budkus
7. Hans Czudnochowski
8. Karl Dombrowski
9. Emil Dukar
10. Erik Dusza
11. Willi Gabial
12. Artur v. Gottschal
13. Otto Goldschowski
14. Paul Gun'a
15. Ernest Kucharski
16. Johannes Napolka
17. Gotleb Kowalski
18. Hans Ograczwalie
19. Emil Paksadz
20. Gustaw Panek
21. Paul Pleuz
22. Emil Posny
23. Emil Przyswitt
24. Emil Pasianius
25. Alfred Gogalla
26. Kurt Sadłowski
27. Gotleb Saloga
28. Artur Schindowski
29. Fritz Schudziara
30. Emil Schwider
31. Otto Senczek
32. Erik Skowronski

33. Karl Suchowski
34. Walded Symanczyk
35. Frits Szalazko
36. Ernest Zymowski
37. Alfred Walopol
38. Herman Putkowski
39. Emil Kupzira

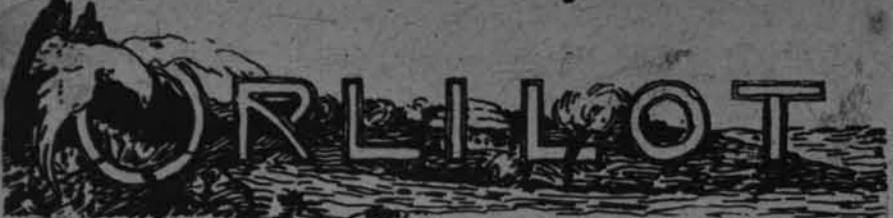
Jak z powyższego widać, są to Polacy o niemieckich wprawdzie imionach, lecz o nazwiskach niejednokrotnie nawet zachowujących pisownię polską.

Czy nie byłoby wskazane, żeby ktoś zajął się starymi cmentarzami i nagrobnymi tablicami, takimi jak powyżej opisana? Czyżby to czasem nam kiedyś nie było potrzebne?

Następnie: jeżeli „Historia dawnego szpitalnictwa w Polsce to mało znana dziedziną” — jak czytamy w artykule „Szpital staropolski”, zamieszczonym w tym samym numerze — to należałoby zbadać szpital wiejski w Milanowie, powiat Radzyń Podlaski. Milanów jest sporą wsią z przystankiem kolejowym na linii Siedlce — Lublin. We wsi znajduje się stary szpital fundacji księżnej, której nazwiska niestety nie pamiętam, ale wiem, że jest to szpital przykościelny.

Józef Kwiatkowski
Dobre k/Nieszwany





HARCERSKIE SPRAWNOŚCI KRAJOZNAWCZE JANUSZ ANDRUSIKIEWICZ
C. D. Z POPRZEDNIEGO NUMERU



Kustosz



Zdobywający sprawność winien wykazać się wiadomościami podstawowymi dotyczącymi zabytków historycznych, znać zabytki w najbliższej okolicy i oprowadzić po niej wycieczkę. Współpraca z osobami lub instytucjami opiekującymi się zabytkami, zbieranie materiałów odnoszących się do zabytków i aktywne członkostwo w PTTK — są dalszymi warunkami zaliczenia próby.



Łazik



Pierwsza z cyklu trzech sprawności opartych o turystykę pieszą. Ubiegający się o nią musi wziąć udział co najmniej w czterech wycieczkach po swej okolicy i zdobyć brązową OTP. Próba stawia nadto wymagania umiejętności projektowania i przeprowadzania wycieczek oraz orientowania się w terenie. Jednym z warunków przyznania sprawności jest udział kandydata w opracowaniu planu orientacyjnego okolicy lub informatora.



Włóczęga



Próba nakłada obowiązek posiadania sprawności łazika oraz srebrnej OTP. Bardzo silny nacisk położony zostaje na krajoznawstwo: zdobywający sprawność musi prowadzić dzienniczek wycieczkowy, zbierać materiały z zakresu etnografii lub geologii, znać godne zwiedzenia obiekty w województwie. Nadto kandydat musi wykazać się różnymi praktycznymi umiejętnościami z zakresu wędrownictwa.



Węga



Sprawność przewidziana jest dla harcerzy uprawiających systematycznie turystykę i organizujących jej uprawianie w swoim środowisku. Kandydat winien posiadać sprawność włóczęgi i złotą OTP. Warunkiem zdobycia sprawności jest pełnienie funkcji zastępowego na obozie wędrownym lub kierownika grupy na raidzie PTTK oraz systematyczna praca krajoznawcza na wybranym odcinku (np. ochrona zabytków historycznych).



Kolarz turysta



Rys. J. Świecimski

Sprawność jednostopniowa, wymagania są stosunkowo łatwe, odpowiednie raczej dla początkujących kolarzy — turystów. Opracowanie dwóch dalszych, kolejno trudniejszych sprawności wydaje się niezbędne. Próba sprawności omawianej zobowiązuje kandydata do zdobycia brązowej KOT lub odbycia tygodniowej wędrowki, wykazania się znajomością sprzętu oraz umiejętnością planowania i przeprowadzania wycieczek kolarskich. Prowadzenie dzienniczka wycieczkowego lub zbieranie materiałów krajoznawczych jest jednym z dalszych obowiązków zdobywającego sprawność.

SZPARGAŁY



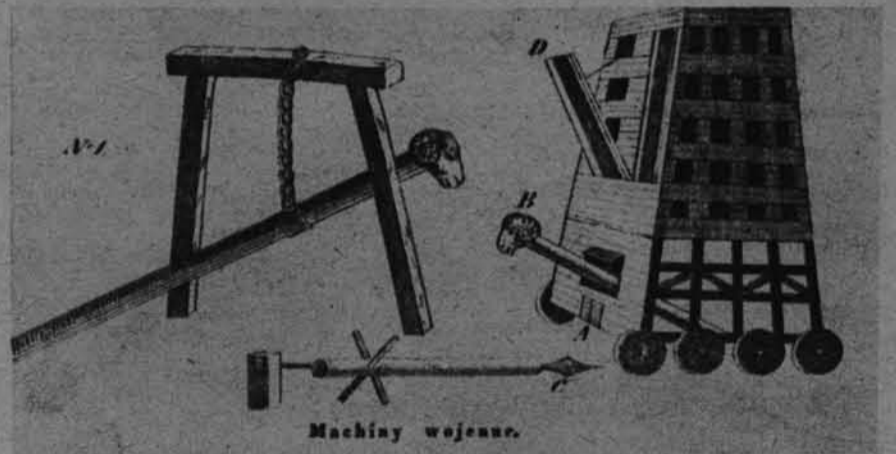
Rys. J. Świecimski

Wielokrotnie zapewne spotykaliście w ilustrowanych pismach (w tym również i w ZIEMI) reprodukcje dziewiętnastowiecznych rycin. Uzupełniały je często oryginalne ówczesne komentarze i opisy. Jedne i drugie śmiesz was dziś i bawią. Śmiesz was drobiazgowo, przesadna maniera rysunku, jego naiwny realizm. Śmiesz dziwaczny, nieużywany dziś styl artykułów.

mniej więcej co dla was dziś „Przekrój” czy „Dokoła Świata”. Znowu tedy śledzimy z napięciem przebieg amerykańskiej wojny Północy z Południem, czytamy o kurtuazyjnych wizytach carskiej floty w Brest. Znowu przemawiają do nas „na codzień” ludzie których nazwiska omszały pleśnią podręcznikowej wiedzy. Aleksander Głowacki, Henryk Sienkiewicz... Czytamy krajoznawcze felietony i reportaże z tamtej, dziewiętnastowiecznej Polski, w której stały jeszcze dziesiątki zabytkowych



drewnianych miasteczek, startych potem z powierzchni ziemi przez obie wojny światowe. Polski barwnych jarmarków, jakie przechowali nam w swych rysunkach ówcześni ilustratorzy. Polski w której „wiek



Zbiory starych czasopism to skarbnica wiedzy o życiu i kulturze dawnej Polski. Przeglądając ich karty przez chwilę patrzymy na dawno minione wydarzenia oczyma dziewiętnastowiecznego czytelnika. Tego, dla którego „Wędrowiec” czy „Tygodnik Ilustrowany” były tym

pary i elektryczności” czynił dość nieśmiało postępy. I wreszcie czyż nie są wzruszające owe szczere w intencji, choć nieco naiwne, patriotyczne „obrazy z dziejów dawnej Polski”, przemycane przez polskich redaktorów pod nosem obcego cenzora?



№ 81. Warszawa, 7 sierpnia 1869 r. TOM IV.

O ZAPISYWANIU GWAR LUDOWYCH

W 1 tegorocznym numerze „Ziemi” znaleźli czytelnicy interesujące (i dla każdego wykonalne, przynajmniej na stopniu „notatki”) wskazówki Janusza Bogdanowskiego, jak może amator wziąć udział w inwentaryzacji zabytków architektury. Ja dzisiaj spróbuję objaśnić, o ile są możliwe i mogą być pożyteczne amatorskie zapisy gwarowe.

Trzeba do tego trochę specjalnego zainteresowania, ale przede wszystkim trzeba szacunku dla wszelkich form ludzkiej kultury. Nie przyda się tu ktoś, kogo śmieszy chłopska mowa (np. tzw. mazurzenie, tzn. wymowa *c, dz, s, z*, na miejscu ogólnych *cz, dż, sz, ż*, np. *cašem, jezdzę, syja, zyto*) i kto słucha jej z wyższością nie wiadomo na jakiej podstawie przekonany, że to język zepsuty, wyrazy poprzekręcane. Może się przydać, ale bynajmniej nie najlepszy jest obserwator który swoją uwagę i zainteresowanie zawieszca do — nie zawsze ziszczonę — chwili, kiedy spotka coś nadzwyczajnego, gwarę szczególnie charakterystyczną i bardzo odległą od języka ogólnego. Jednym słowem: górala, Kurpia, niezrozumiałej domowej mowy Kaszuby warto według niego posłuchać i coś z tego zapisać, ale gwara spod Płocka czy Kielc — cóż to ciekawego? Tam chyba w ogóle nie ma gwary! Otóż nie ma racji, kto by tak myślał. Gwary ludowe są, równie jak język ogólny, wynikiem długiego rozwoju kulturalnego i każda z nich, choćby niezbyt osobliwa, wiele mówi — swoim zasobem słownym i formami wyrazów — o narodowej przeszłości historycznej, gospodarczej i kulturalnej. A jednocześnie, wiemy to wszyscy, gwary gwałtownie teraz zanikają. Jest to proces nieunikniony, a przy tym związany z jak najbardziej dodatnimi przemianami w dzisiejszym życiu: postępem oświaty, wzrostem czytelnictwa, uprzemysłowieniem kraju, rozwojem komunikacji. Każda szkoła odrywa dziecko chłopskie od gwary i nie może ani nie powinno być inaczej, bo trzeba całe społeczeństwo wdrażać do posługiwania się językiem kulturalnym, który jest językiem literatury i ludzi wykształconych. I tylko należy pragnąć, aby żaden nauczyciel nie wyśmiewał form czy słów gwarowych ani nie dopuścił, żeby dzieci zaczęły się w mówieniu gwarą dopatrywać znamion niższości.

A więc, choć powinniśmy rozumieć, że gwary należą do pomników narodowej historii, nie załamujemy rąk że giną, ale starajmy się chwycić i zapisać, co tylko jeszcze z nich istnieje, bo jutro już i tego nie będzie. Nie-wyzyskanie zaś tych cennych i tak swobodnych, nie dających się przez nic innego zastąpić, niepisanych dokumentów kulturalnych byłoby wielką narodową stratą. Nauka o tym wie i stara się szkodzić zapobiec. Dialektologowie zapisują lub nagrywają na taśmie magnetyfonową opowiadania gwarowe i wydają je drukiem lub jako płyty gramofonowe opracowują gwarowe słowniki i atlasy (o *Małym atlasie gwar polskich* który, zaczął parę miesięcy temu wychodzić, niedawno w „Ziemi” pisałam), piszą studia o gwarach określonych miejscowości lub okolic albo o pewnych wyodrębnionych zagadnieniach z zakresu gwar. Ale zadań jest bardzo wiele, a czas nagli, więc pomoc ludzi dobrej woli, młodzieży lub dorosłych, ogromnie się może przydać.

Zapisy tekstów ciągłych są trudne, bo coraz to się zdarza, że jakiś wyraz zatrzyma uwagę zapisującego i wtedy kilka następnych słów słyszy się i notuje niedokładnie. Odpowiedzialna obserwacja zjawisk formalnych, gramatycznych, bez przygotowania specjalistycznego jest niemożliwa, ale w zakresie zbierania słownictwa zadania są łatwe i tego rodzaju robota może być bardzo pożyteczna. Często stosuje się tzw. kwestionariusze tzn. opracowane

przez dialektologów zestawy pytań według których można zbierać słownictwo gwarowe. Warszawski Zakład Językoznawstwa PAN rozesłał niedawno takie kwestionariusze do szkolnych kół krajoznawczych by w ten sposób wciągnąć do akcji młodzież. Inicjatywa spotkała się z powodzeniem ale ze swojej strony i zarazem w imieniu krakowskiej pracowni dialektologicznej PAN gdzie pracuję, zainauguruję akcję inną — dla tych dorosłych i nie-dorosłych kandydatów na zbieraczy, którzy będą woleli pracę bardziej indywidualną: bez rygorów ilościowych i z góry ustalonych pytań. Kto ma ochotę popracować w ten sposób, niech zapisuje przy sposobności (ale zawsze na gorąco, nigdy z pamięci!) wpadające mu w uszy wyrazy ludowe a zebrawszy ich garstkę, choćby kilkanaście lub jeśli ochota i warunki będą mu służyć dłużej — ilość nieco większą, niech prześle swój plon pod adresem: Pracownia Słownika Gwar Polskich PAN, Kraków, Mikołajska 9. Stąd, prócz podziękowania, otrzyma w odpowiedzi ocenę wartości swoich zapisów i ewentualnie wskazówki do dalszej pracy.

Oczywiście i tę pierwszą, z natury rzeczy próbną robotę nie można prowadzić w sposób zupełnie dowolny. Licząc, że może się ktoś spośród czytelników moją zachętą zainteresuje, z góry podam, jakie tego rodzaju amatorskie zbieranie gwarowego słownictwa winno spełniać warunki, aby zgromadzony materiał mógł mieć wartość naukową.

Otóż przede wszystkim zbieracz powinien starannie sprawdzić, czy człowiek, od którego czerpie zapisywane wyrazy dobrze reprezentuje gwarę danej wsi: czy w ogóle mówi gwarą a nie tylko zachował jakieś jej ślady, gdy na ogół ma język już upodobniony do ogólnego, czy sam pochodzi z tej wsi i czy pochodzili z niej także oboje jego rodzice, czy wsi na dłużej nie opuszczal... Tylko osobnik, który spełnia wszystkie wymienione tu warunki, może być pewnym źródłem wiadomości. Najczęściej spełniają je ludzie starzy, ale regułą to nie jest. Trzeba też uważać, czy informator widząc, że notujemy (a ukrywać tego nie trzeba) nie stara się mówić „lepiej”, bardziej po miejsku. Jeśli tak, powiedzmy mu, żeśmy ciekawi, jak ludzie w tej wsi mówili dawniej, a odzyska swobodę niezawodnie. Poza tym, jeśli zapis nie jest zupełnie przelotny i ograniczony do paru słów, należy zwrócić uwagę na charakter wsi: czy jest stara, czy rozległa, ilu ma mniej więcej mieszkańców, czym się mieszkańcy trudnią, czy nie dojeżdżają do pracy (dokąd?), jakie wieś ma powiązania komunikacyjne i jakie kontakty z miastem. Wsie o ludności nowoprzybyłej do naszych celów się nie nadają. Zebrane w ten sposób wiadomości o informatorze i wsi prosimy koniecznie nadesłać z pierwszą partią zebranych wyrazów. Prosimy też o podanie imienia, nazwiska i przybliżonego wieku informatora, a co do wsi — jej nazwy, powiatu, dawnej gminy i jej przybliżonego położenia w stosunku do miasta powiatowego. Prócz tego prze-

KUCHENKI



Popularny spirytusowy „kocber” od paru lat przestał być dla polskiego turysty rewelacją. Zużywa zbyt wiele (stosunkowo drogiego) paliwa, zbyt powoli gotuje i w zasadzie jest obliczony na jedno lub dwaosobowe wycieczki piesze. Mniej natomiast przydatny jest na dłuższych, wieloosobowych wycieczkach ślaskich i kajakowych. Niestety poza spirytusowym kocberem przemysł polski produkuje tylko jeden jedyny typ prymusa (typ „Juvel”), prymitywny, wyrotosy nie mówiąc już o estetyce wykonania.

O tzw. „Enders Baby”, jednym z typów benzynowej kuchenki, produkowanej przez zachodnio-niemiecką firmę Enders pisałam w Ziemi nr 8/57. Obecnie podajemy szereg innych przykładów.

Kuchenka na spirytus w kostkach ESBIT produkowana w 4 różnych wariantach przez belgijską firmę Governor.

Benzynowa kuchenka „Enders Duo” ze zbiornikiem o pojemności 0,5 lub 1 l i metalową osłoną przed wiatrem.

Kuchenka na skroplony gaz butan. Waga 9 kg. Czas palenia 25 godzin. Produkcja Governor.

Kampingowa składana szafka kuchenna. Najprostszą kuchenka gazowa produkcji francuskiej. Waga 1,25 kg. Czas palenia 8—10 godzin.

Kuchenka gazowa z lekkiego metalu

Dwupalnikowa kuchenka na butan produkcji francuskiej. Czas palenia obu palników równocześnie ok. 20 godzin.

Fot. J. Bogdanowski

syłce powinna towarzyszyć wiadomość o zbieraczu: imię, nazwisko, wiek, zawód, pochodzenie środowiskowe, miejscowość pochodzenia jego i jego rodziców, dalej wiadomości, gdzie spędził dotychczasowe lata życia, czy i skąd zna zapisywaną gwarę, ewentualnie, czy i skąd zna jakieś inne gwary i mianowicie które.

Wyrazy powinny być zapisywane w takiej formie, jak były powiedziane, a nie tak, jakby zdaniem zapisującego — tu lub w języku ogólnym — brzmić powinny, a więc np. *jendur* nie *indor*, *pomietlo* nie *pomiotło*, *kruszka* nie *gruszka*, *bestry*, nie *pstry*, *copka* nie *czapka*. Przy każdym wyrazie należy podać znaczenie lub opis, bardzo pożądane są schematyczne rysunki (przy przedmiotach) i przykłady zastosowania danego wyrazu w zdaniu, przy czym chodzi oczywiście o zdania autentyczne, tak jak je zapisujący usłyszał.

To już wszystkie wskazówki. Podając je dla zainteresowanych i chętnych, ale i dla zbierania ludowego słownictwa nie pociągało nikogo, to może i tak nie będzie ten artykuł bez żadnego pożytku, czytelnicy bowiem dowiedzą się z niego trochę rzeczy, o których kulturalny i ogólnie zorientowany człowiek wiedzieć powinien.

ZOFIA STAMIROWSKA

Z DAWNYCH KRONIK
I INNYCH ZABYTEKÓW
PIŚMIENICTWA"ZUCHWALI
I LUBIEŹNI"

„Lud w całym tem podgórzu Tatrów i w całych najwyższych Tatrach jest rosły, żywy, wesoły. Jak ciało czerstwe, tak również wszystkich władze umysłowe dobrze udolne. Ani tu garluchów, ani karłów. Po pilnym wybadaniu, nigdzie w górach pierwotnych Karpaccich nie wydarzają się karły. Prędzej wyrastają olbrzymiej postawy chłopcy. Zastanowiła mnie nieraz ta uwaga: czemu w równinach naszych wydaje natura czasem karły i olbrzymy? W górach pierwotnych



„W późnej jesieni widzimy omnibus żydowski w błotnistej kałuży stojący, gdy oś pękła i koło spadło, a podróżni wysiadać z niego zmuszeni, bez względu na to że deszcz pada i trzeba brnąć po wodzie, ażeby się wydostać na sułsze miejsce.

„W ciągu lat kilku, owe sławne w Królestwie Polskim szosy, po których droga jak po stole gładkim wiodła, stały się gorszymi od starych gościńców bocznych. Dziś przyprowadzenie ich do dawnego stanu kosztować będzie miliony, gdy ciągła staranność konserwacji chroniła je od tak strasznego zniszczenia, zachowując w należytnym stanie. Ile cierpi na tym handel wewnętrzny i przemysł krajowy, ile komunikacja przez to utrudniona i wygodą podróżnych — trudno obliczyć i skargi tylko powszechne ze wszystkich stron kraju o doniosłości ich wymownie przemawiają. — „Kłosy”, Nr 512, 1875 r.

zaś karłów nigdy nie płodzi? W osadach tutejszych, osobiście w okolicach Magory od Nowego Targu do Czerwonego Klasztoru w znacznej części starostwa Spiskiego zastałem język polski nierównie czystszy, niżeli wszystkich innych góralach od Krakowa aż do tej okolicy...

„Spuszczając się późno w wieczór stanęliśmy na polanach, gdzie były koliby Joasiów (tzn. juhasów — u. wł.). Tak górale w Tatrach nazywają pasterzów, którzy na całe lato wychodzą w góry z owcami i z bydłem. (...) Uderzyła mnie tych ludzi zręczna i zwinna postawa; a nad wszystko zastanowił mnie ich ubiór. Jest on zupełnie różny od tych góralów, którzy mieszkają w górach bielawskich i w Beskidach; a który strój już powszechnie jest znany. Ubiór góralów w Tatrach jest bardzo różny i niema żadnego stosunku z nakolnych narodów Słowiańskich strojem. Ma zaś niektóre podobieństwa z ubiorem góralów wysp południowych. Joas góral Tatrów ma wzrost wielki, cała postawa umierzona w dobrym stosunku. Powszechnie włos czarny, naturalnie opuszczony, oko żywe i czarne, twarz podłużna, w niej rysy znaczące. Na nogach bačkory, czarnym rzemieniem do łysk w pleciankę różną przypasywane. Nogawice długie, opięte, białe, z wierzchu półkoszule całe czarne, stłuszczone, i mocno lśniące; u niektórych tak cienkie, iż zdaleka ukazują podobieństwo do glansowanej kitajki. Na szyi gąbice: to jest kilkanaście sznurków i szkiełek rozmaitych okrągłych i różnej wielkości i różnej farby; czasem mają opustki z gęstych strzępów od góry i od dołu, natkane także rozmaitemi szkiełkami. Takie gąbice spina pod brodą albo jak kamień z dziurkami przez który przeciągane sznurki, albo też spręża mosiężna w czworogran zmiennokątny robiona. Z pod tej suto kilka łańcuchów mosiężnych opada mu na piersi. Przy tych wiszą czasem u dołu kamyki różnego kształtu, różnej farby i rozmaitych zabobonnych znaczeń. U innych przy uszach wiszą pęki różnych szkiełek luskających. Na głowie kapełusz, którego głowica niska; a ma naokoło osadzone wielorakie pióra.

„Uderzyła mnie także u tych ludzi ta gościnnosc, ta prostota, ta niczym nieposłonią jeszcze otwar-

tość. Widziałem u nich od społeczeństw zdalonych, że te przymioty są własnością natury człowieka. Przesuwały mi się myśli; czemu podobne własności im w doskonalszych żyjemy towarzyszach, tem więcej one giną w ludziach?

„Powszechnie wszyscy polscy górale w Beskidach, w Bieszczadach w Tatrach, w całych pokuckich górach są weseli, żywi i strasznie zuchwali. Wszystkich zewnętrzny skład ciała przystojny, wzrost wysoki, zrzeczność nadzwyczajna. Wszystkie ich zmysły bystre. Wewnątrz władze umysłowe bardzo udolne. Żywosc namiętności bez porównania od mieszkańców dolin porówna i dzielniejsza. Są popędliwi, mściwi i lubieżni, ale razem odważni, otwarci, rzetelni i gościnni.

Polą tutejszych osad po górach z trudnością rodzą owsy. W dolinach są zasypane wysoko z samych głazów i granitów rumowiskiem. Po tych chodząc i przypatrując się pracy tutejszego rolnika, zastanawiała mnie często uwaga wielkości skutku w ludziach mocy fizycznej i mocy moralnej. Włocianie tutejsi o dwa i o trzy łokcie na swych polach zbierają granity i glazy. Z tych wiekami popruszonych otrząsają prochy, aby z nich, na głębszych zwaliskach tychże głazów i granitów strzęśli sobie kawałek ziemi, gdzieby posieli owies, albo natkali ziemniaki, a których im często ledwie dozwalała zbierać zbyt tu wczesne śniegi. Przecież oni tu siedzą; oni tę ziemię lubią; oni na tych gołych skałach, gryząc placek owsiany równie jak kamień twardy znajdujący więcej powabów, niżeli na każdej innej najobfitszej ziemi. Głód po wielekroć ich do roku z tych gór na równiny wypędza. Oni po kilka razy do roku tysiącami zjeżdżają, pleszo schodzą w równiny po zboże; lecz nie pożywają go nigdy na dole. Ale jedni, których stać — na koniach, drudzy ubożsi, wór z żytem na własnych plecach przykrępowawszy, 15 mil niosą go w góry, aby tak ciężki, tak drogi chleb pożył na tym nieużytku, na tym twardym i zimnym glazowiszczu rumie”...

(Wyjątki z niepodpisanej relacji, sporządzonej w r. 1805, a wydrukowanej w „Muzeum Domowym”, Warszawa 1839. Autorem relacji jest być może sam wydawca „Muzeum”, Fr. Dmochowski).

Burszta Józef

Od osady słowiańskiej do wsi współczesnej. O tworzeniu się krajobrazu osadniczego ziem polskich i rozplanowań wsi. (Wyd. 1. Obwol. Stanisław Andrzej Cyrano). — Wrocław 1958. Zakład Nar. im. Ossolińskich. cm 24×17, s. 176, pl. 12 i w tekście, ilustr., mapy, bibliogr. s. 175—6. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze. — Biblioteka Popularna, t. 1. zł. 30,—

Etnografia Polska.

(Wyd. 1. Red. nac. Witold Dynowski). T. 1. (Red. Anna Kutrzeba Pojnarowa). — Wrocław 1958. Zakład Narod. im. Ossolińskich. Wydawn. PAN. cm 25×17, s. 438, 2 nlb., mapy 3 i w tekście, ilustr. Rez., Sum. Polska Akademia Nauk. Instytut Historii Kultury Materialnej. Dział 4: Etnografia. zł. 55,—

Kersten Adam

Chłopi polscy w walce z najazdem szwedzkim 1655—1655. (Wyd. 1). — Warszawa 1958. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. cm 23,5×17, s. 243, 1 nlb., bibliogr. s. 207—25, Sum. zł. 35,—

Michałkowa Janina

Mistrzowie portretu niderlandzkiego XVII w. Warszawa 1958. „Arkady” cm 20×14,5 s. 54, 2 nlb., tabl. 64 w tym portr., bibliogr. s. 49—52, err. zł. 24,—

Nocoń Rudolf H.

Dzieje, kultura i upadek Inków. (Wyd. 1. Obwol. Zbigniew Klimczyk). — Wrocław (1958) Zakład Narod. im. Ossolińskich cm 24,5×17 s. 377, ilustr., portr., mapy, bibliogr. s. 344—63. Polskie Towarzystwo Ludoznawcze — prace Etnograficzne, t. 5. — Na obwol. tytuł: Dzieje i kultura Inków. zł. 45,—

Petrykowski Tadeusz

Toruń. Oprac. graf., obwol., okł., k. tyt. Jan Mucharski. — Warszawa 1957. „Sport i Turystyka” cm 28,5×20,5 s. 135, 1 nlb., ilustr., portr., pl. zł. 59,—

Ploski Stanisław

Niemieckie materiały do historii powstania warszawskiego. — (Warszawa 1958) Państwowe Wyd. Naukowe. cm 24×17 s. 59, 1 nlb., tabl. Polska Akademia Nauk. Instytut Historii. Komisja Koordynacji Badań nad Dziejami II Wojny Światowej. — [Odb.]: Najnowsze dzieje Polski. Materiały i studia t. I. — zawiera również tłum. z niem. — Tekst częściowo niem. zł. 15,—

Walczakowa Jadwiga, Walczak Wojciech.

Po skarby Indii. O wyprawach Vasco de Gamy do Indii Wschodnich w latach 1497—1524. (Wyd. I. Okł., g. tyt., przerywniki Włodzimierz Lewiński). — Warszawa 1958 „Wiedza Powszechna” cm 20,5×14,5 s. 249, 3 nlb., mapa 1 i w tekście, ilustr. portr.

Z dziejów odkryć geograficznych. — Na k. tyt. Autorzy: Jadwiga i Wojciech Walczakowie. zł. 17,—

„Wierchy”

Rocznik poświęcony górcom. Organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wyd. przez Komisję Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK. 1957: 26. — Kraków 1957 (Państw. Wydawn. Naukowe) cm 24,5×17 s. 366, 1 nlb., tabl. 4, ilustr., portr., mapa, nuty, bibliografia s. 327—352. Soderz., Contents, Rés., err. zł. 40,—

Zaruski Mariusz

Z harcerzami na „Zawiszy Czarnym”. Wstęp i przypisy Bronisław Miazgowski. (Okł. i obwol. Tadeusz Kobylka. — Warszawa 1958) „Sport i Turystyka” cm 20,5×14,5 s. 132, 3 nlb., tabl. 10, portr. 5. zł. 14,—



REDAGUJE
T A D E U S Z
K A Ł K O W S K I
SKARB CZYK
NUMIZMATYCZNY 2



Polskie znaki pańszczyźniane z XVIII i XIX wieku, środkowy w górnym rzędzie żelazny, drugi od lewej w dolnym rzędzie miedziany, pozostałe mosiężne. Litery oznaczają: „jeden zaprzęg z wozem”, „koń jeden”, „cały dzień”, „jeden dzień”. Wielkość naturalna. Fot. A. Broż, Kraków

NUMIZMATYKA CHŁOPA PAŃSZCZYŹNIANEGO



Rys. J. Świeciński

Stara polska karczma. Omszaty dach gontowy, walcący się podcięć, w ziemię wrońnięte ściany! Dla wędrowca wdzięczny temat do miłego zdjęcia...
Ale co! Nijmy się myśleć w ostatnie lata królewskiej Rzeczypospolitej, a stara karczma ukaże nam polską rzeczywistość wiejską, odartą całkowicie z fotograficznego wdzięku. Józef Wybicki, szlachcic z Prus Królewskich, jadąc w r. 1776 do Warszawy, widział tylko „wywiędłe ludzkie cienie, rozumiał na śmierć skazanych widzieć złoczyńców”. W dwa lata później Anglik Coxe, profesor uniwersytetu w Cambridge,

jadąc z Krakowa do Warszawy, widzi wszędzie „walcący się wioski, krainę nędzy i spustoszenia”...
Za dni ciężkiej pańszczyźnianej pracy pod batem ekonoma — chłop dostawał chłopskie pieniądze — pieniądze polskiej hańby XVIII wieku, cienkie, jednostronnie bite, miedziane, mosiężne lub zgoła żelazne blaszki z wyobrażeniem ludzkiej figurki, konia, koła od wozu. Z tymi „numizmatami” mógł udać się tylko do pańskiej karczmy. Albowiem blaszki te cyki swego obiegu zaczynały i kończyły u pana, przesyłany przez ręce chłopu i karczmarza, co pańską karczmę trzymał w arendzie i wódkę z pańskiej gorzelni szynkował. W „Dzienniku Handlowym” z r. 1788, str. 378 czytamy odpowiedź chłopu, upominanego za pijaństwo: „wszak ten grosz przez moje gardło wraca do kieszeni pańskiej”. Zaś ordynat Andrzej Zamojski w nadaniu z r. 1765 wyraźnie zastrzega: „...trunki wszelkie z nikąd inąd, jak tylko z karczem moich brane będą pod sztrotem na nieposłusznych 10 talarów”...
W wędrowce po kraju możemy dziś jeszcze dostać w ręce te numizmaty chłopskiej niedoli w XVIII i XIX wieku. Przyjrzyjmy się rycinie. Środkowy znak pańszczyźniany z górnego rzędu został odkryty dopiero w roku ubiegłym w Myślenicach pod Krakowem. Dzieci szkolne przyniosły go do szkoły. Mogą i Wam przytrafić się podobne odkrycia. Czekają na nie muzea.

NOTATKI

Wiadomości Numizmatyczne, Rok I, 1957, Nr 1 przynoszą między innymi następujące prace: W. Terlecki daje kompletny przegląd całego polskiego czasopiśmiennictwa numizmatycznego, praca niezmiernie pożyteczna dla zbieraczy, kompletujących biblioteczki podręczne, D. Albrzycht opisuje wykopisko monet z XVII wieku z Makowa Mazowieckiego, w którym znalazły się przeważnie monety Zygmunta III, ale również bardzo rzadki półtalar gdański Władysława IV z r. 1639, dalej M. Kowalski zestawia polską monetę prywatną od XVIII do początku XX wieku, z mnóstwem rycin na osobnych tablicach, zaś W. Terlecki rozpoczyna druk katalogu najnowszych monet polskich, bitych w okresie 1917—1944 r. Prócz tego znajdujemy w tym zeszycie kilka prac medalistycznych, notatki bibliograficzne i kronikę. Przypominamy adres Redakcji i Administracji kwartalnika: Warszawa, ul. Jezuicka 6. Prenumerata za r. 1957 i 1958; 75 zł.

SKRZYŃKA POCZTOWA

Pierwszy odcinek „Skarbczyka” w majowym zeszycie „Ziemi” wywołał duży napływ korespondencji świadczącej, że dla wędrowców-krajoznawców nie są obojętne sprawy najmniejszych zabytków historycznych, jakimi są monety. Na wiele listów odpowiadamy pocztą, natomiast w naszej skrzynce poruszać będziemy tylko te zagadnienia, które obchodzą ogół naszych Czytelników. Prosimy wyraźnie i usilnie: Nie przysyłajcie nam żadnych numizmatów! Przysyłajcie natomiast wyraźne odbitki ołówkowe tych monet, których sami nie umiecie oznaczyć, wykonane tak czysto, jak pokazano na rycinie. Z takich odbitek potrafimy powiedzieć Wam bez trudu wszystko co trzeba, aby objaśnić rodzaj i pochodzenie monety.



Ołówkowa odbitka talara elbiągskiego Władysława IV z r. 1635.

Z NASZYCH MUZEÓW

Muzeum w Nowej Soli n/Odrą (woj. zielonogórskie) zostało założone przed 12 laty staraniem grupy miłośników przeszłości z p. Aleksandrem Fudalejem na czele, który obecnie jest jego kierownikiem. Przed dwoma laty muzeum przystąpiło do urządzenia Gabinetu Numizmatycznego, poświęconego głównie numizmatyce śląskiej. Krajoznawcy, którzy napotykają numizmaty śląskie, oraz wszyscy na Śląsku zamieszkali Czytelnicy „ZIEMI” są proszeni o zasilanie darami młodej placówki numizmatycznej, której przesyłamy życzenia pomyślnego rozwoju.

BIBLIOGRAFICZNE



W IX i X wieku Polska była już widocznie dobrze znana w krajach Bliskiego Wschodu skoro ciągną do nas stamtąd liczne wyprawy kupieckie. Stwierdzamy to po ilości skarbow monety arabskich, zwanych dirhemami, zakopanych w naszej ziemi. Najbogatszy z nich, wagi ponad 3 kg wykopany został w roku 1945 na przedmieściu Czechów w Lublinie. Skarb ten został ostatnio opracowany naukowo przez zespół orientalistów w obster-nym dziele, którego tytuł brzmi:

Czapkiewicz A. — Leński T. — Nosek S. — Opozda Czarkiewicz M. Skarb dirhemów arabskich z Czechów w Warszawie-Wrocławu 1957. Nakł. Zakładu Orientalistycznych 286 str. 15 tablic monet, 1 mapa mennic arabskich, cena 30 zł.

Aby wędrowcom-krajoznawcom dać pojęcie o kształcie tych interesujących monet, reprodukowujemy taki dirhem w powiększeniu. Nie pochodzi on ze skarbu czechowskiego ale jest do tamtych monet podobny. Korzystamy więc z publikacji orientalistów i podajemy objaśnienie. Na stronie głównej tj. na „awersie” monety (na ryc. po stronie lewej), w polu środkowym wypisana jest po arabsku inwokacja w 3 wierszach:

„Niema Boga prócz
Jedynego Allaha.

Nie posiada on towarzysza.

W otoku podane jest miejsce i rok wybitcia monety. Na stronie odwrotnej tj. na „rewersie” zarówno w polu środkowym, jak i w otoku monety wypisane są wyjątki z Koranu.

Z podanej książki wybieramy jeszcze garść wiadomości, dotyczących szlaków handlowych, którym szli kupcy arabscy. Z dokładnej analizy większej ilości skarbow dirhemowych oraz statystyki mennic, reprezentowanych w tych skarbach, autorzy doszli do przekonania, że kupcy pochodzili przeważnie z dzisiejszego Iraku, Scisłej i okolic Bagdadu. Wyszędzili z ojczyzny, kierowali się oni na północny wschód, w kierunku rzeki Amu Darii (sprawdźcie na mapie) zdążając do Fasz-kentu i Samarkandy w Azji Środkowej. Stamtąd przez dzisiejszą Chiwę, wówczas zwaną Chorezmem, ponocnym brzegiem Morza Kaspijskiego zdawali do Kijowa, który był ważnym i bogatym ośrodkiem handlowym. Z Kijowa prosta droga wiodła przez stolicę Grodów Czerwinskih Czerwień (dzis Czeremno) do Krakowa i Pragi. Ale w Czerwieńiu odgaleziła się od tego szlaku droga do Bałtyku po bursztyn, wiodąc przez Chełm-Lublin-Sokołów Podlaski, Ziemię Dobrzyńską i Chełmińska do Bałtyku. Skarb z Czechowa leży właśnie na trasie tego szlaku.

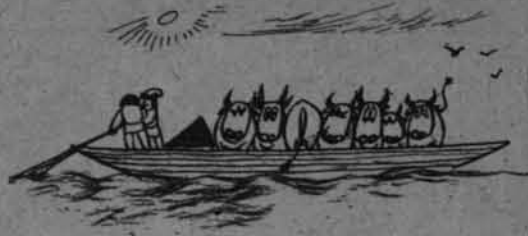
Wyberzmy się na wędrowkę, szlakiem arabskich kupców. Oby Allah pozwolił nam wyhandlować po drodze od przygodnych tubylców niejeden srebrny dirhem, polską walutę z X wieku, razem z Bagdadu.

Srebrny arabski dirhem z VIII—IX w. znaleziony pod Lubartowem. Średnica monety 27 mm. Ciężar 2,8 g. Fot. A. Broż.



SKARB BY MONET ARABSKICH W POLSCE

GDY WISŁA PLYNEŁY



Fot. Spółniaki

KOZY I BYKI

tomiast głównym przeznaczeniem żaglowego bota, większego od lichtana, bo biorącego 8—12 lasztów, był przewóz ludzi. Był to więc przede wszystkim statek pasażerski. Zabierał do 12 osób. Podobne rozmiary co bót miały nieżaglowe łyzwy (do 6 ludzi) oraz żaglowe... kozy i... jadwigi. Jeśli do tych statków i stateczków dodamy czółna i inne łódki, będziemy mieli niemal komplet pojazdów wodnych kursujących na naszych rzekach.

Osobną grupę pojazdów rzecznych tworzyły tratwy (trafty głeny, płty). Na górskich odcinkach rzek drewno splawiano też luzem.

Splaw do Gdańska odbywał się wiosną, od marca do maja, i jesienią. W okresie żniw i niskiej wody oraz zimą żegluga zamierała.

Anzelm Gostomski w swym „Gospodarstwie”, wydanym w Krakowie w roku 1588, poucza, że na zimę szkuty należy ustawić:

„na dobrym miejscu, a na wodzie zawsze, co by w ciszy. Jeden ma być, co ich doglądać ma, aby nigdy burta na ziemi nie leżała, ani się lodu bała. Na łożach mają stać [tj. przywiązane powrozami z łożyny], które mają być zawsze na zamiar w domu albo we dworze: bo liny drogę we Gdańsku. Szkuty mają stać uwiązane u sztaby i rufy, łodzie wszelakie także [...] Niemniej raz we dwie lecie mazać je smołą rzadnie”.

Upomina też Gostomski, aby żagle, powrozy, kotwy, pobiegi (deski przy burtach do chodzenia dla załogi), pojazdy (wiosła), laski (drągi do szybo-

Fragment „Alegorii handlu gdańskiego” przedstawiający flisaków bawiących się po odebraniu zapłaty.



Fot. J. Czecz

wania, to jest odpychania się od dna na płytkich miejscach, przez które ma przejść statek), perły (krążki drewniane, np. do lin), szufle i inne „instrumenta skutne” były pod kluczem gospodarza. „a czego nie dostawa, zimie przed Gody opatrzyć” należy i w ogóle tego wszystkiego „strzec, aby żadnej rzeczy nie szukał dopiero kiedy ladowanie”.

Zaloga

Prace przygotowawcze do splawu wiosennego rozpoczynano wcześniej, jeszcze zimą. „Každy ma się starać — pisał Gostomski — aby na wiosnę najpierwej przed innymi był w Gdańsku” Jeszcze zimą więc przygotowywano statki, zwożono zboże do nadbrzeżnych spichlerzy, werbowano załogę.

Angażowano najpierw szypra, którym w myśl uchwał sejmowych musiał być szlachcic. Szypra był kierownikiem całego splawu (statki wyruszały zwykle gromadnie, tylko wyjątkowo pojedynczo). On organizował całą wyprawę, czuwał nad całym transportem w czasie drogi, opłacał myta i cła, sprzedawał w Gdańsku towary pańskie, zakupywał tam towary dla pana, prowadził (nieraz przy pomocy pisarza) rachunki handlowe i wydatków na flisaków oraz pilnował ich, aby nie uciekli; akwirował też tzw. froktarzy.

Już w zimie szypra najmował sterników, aby mieć pewność, że się stawią skoro tylko nadejdzie czas wyprawy. W Ulanowie nad Sanem był nawet specjalny cech sterniczy.

Dalej w skład wyprawy wchodził retman — pilot wyprawy, który pływając na czele „konwoju” na łódeczce zwanej retmanką wyszukiwał odpowiednio głębokie miejsca i bezpieczny nurt na rzece dla przejścia statków. Do pomocy miał retmanczyka.

Pomocnika (pomagiera) miał również sternik.

Na przedzie każdego statku służbę pełnił starszy flisak, czyli przednik lub sztabnik, jak go zwano.

Do funkcyjnych należał też kucharz. Nieraz w skład załogi wchodził szafarz (wydzierał produkty na strawę); najczęściej funkcja ta połączona była z funkcją pisarza statkowego.

Przy wiosłach pracowali flisowicze, na Narwi orylami, a w Krakowskim włościami zwani. Przeważnie byli to pańszczyźniani chłopcy. Najbardziej powszechnym i prostym sposobem ich „angażowania” było przymusowe wyznaczanie. Na przykład Dyspozycja flisaków za pańszczyźną z klucza oleszyckiego i z miasta Sieniawy z roku 1716 wyznacza z siedmiu wsi 40 flisów, „którzy pójdą na statkach trzech”. Być może zgłaszali się także ochotnicy spośród poddanych danego pana.

Zaloga oprócz zapłaty otrzymywała utrzymanie w ciągu całej wyprawy.

Pływanka rusza

Po załadowaniu towarów na statki (Gostomski upominał aby „boso ladować, bo boty a kurpie wiele zboża usz-

kodzą”) odcumowywano od pala i rozpoczynała się pływanka czyli ryza (spust).

Ryza do Gdańska trwała od kilku do kilkunastu dni, zależnie od odległości portu wyjściowego i warunków hydrologiczno-meteorologicznych. Sławny imię pan Jan Chryzostom Pasek, który niejednokrotnie osobiście na swych statkach woził do Gdańska zboże z Nowego Korczyna u ujścia Nidy, w roku 1680 płynął stąd tylko 9 dni, bo „woda była donośna i cicho”, natomiast jesienią roku 1685 płynął dni 15, bo mu „wiatry często przeszkadzały”.

Ta ostatnia wyprawa była zresztą w ogóle trochę pechowa. Chociaż się panu Paskowi „w spichlerzach zboże bardzo grzało i ustawicznie było trzeba koło przeróbki pracować”, musiał czekać z wyprawą, bo „wody nie było”. Kiedy się zaś stan wody na Wiśle poprawił, przypadła go „choróbka z przepicią”, jak się sam szczerze przyznaje w swych pamiętnikach, więc też nie mógł wyruszyć w drogę. Gdy wreszcie wyruszył, pod Toruniem już „mróz był potężny i lody po brzegach nad zwyczaj”.

A już sto lat przedtem pan Anzelm Gostomski upominał w swym Gospodarstwie, że należy „jesienny spust [...] wczas odpracować, aby szkuty nie zamrzły”!

Tuż od Gdańskiem, między wiślaną Krakowiecką Kępą a ujściem Motławy, statki ze zbożem zatrzymywały się. Tutaj, na prawym brzegu Wisły, wy-

ładowany zboże w celu jego przerobienia.

Przeróbka boża — flisowie mówili: *przerabka* — odbywała się po to, aby zboże, (szczególnie pszenicę) odświeżyć, przesuszyć i usunąć zanieczyszczenia. Tylko zboże w dobrym stanie i o właściwym ciężarze można było sprzedać natychmiast po przyjeździe do portu gdańskiego. Przerabianie odbywało się pod gołym niebem na rozciągniętych płótnach podieszanych suchą słomą. Przy kupie zboża — a kup tych (pryzm) było setki — stawali w trzech rzędach ludzie i szufkami przesytywali ziarno



Flisak. Rysunek Daniela Chodowieckiego

pod słońce i wiatr. Jaki był efekt tych zabiegów? Wydane w roku 1859 *Objaśnienia* dotyczące się handlu zbożem z Gdańskiem wyjaśniają, że „operacja słońca, tarcie, działanie wiatru wysuszają i podnoszą wagę, ziarno nabyma blasku, nieczystość wiatru zabiera i pszenica [...] do niepoznania się *poprawia*”. Broszura ta podaje, że zboże przerobione w spichlerzu właściciela (o takim przerabianiu wspominał też — jak widzieliśmy wyżej — Pasek) przrabia się pod Gdańskiem 3—4 dni, gorzej 8 dni, a stęchłe, wilgotne i zawolczone czasem i kilka tygodni.

To miejsce pod Gdańskiem z czasem nazwano *Przerabką* (jeszcze w XIX wieku tę flisacką formę potwierdzili niektórzy autorzy niemieccy). Dzisiaj jest to dzielnica Gdańska. Nazwę jej ustalono w formie literackiej: *Przeróbka*.

Po przeróbce zboże napowrót „wbi-

jano”, to jest załadowywano na statki i wplywano do portu gdańskiego — na Motławę, gdzie — jak pisał Kłownowic w swym *Flisie* —

[...] już przyjeżdżesz do misternej

[windy,

Tu ujrzysz dziwnych rzeczy na

[przebindy;

Jakom powiedział, już tu masz

[szpichlerze,

Masz i machlerze.²

Tu masz okręty z płóciennymi skrzydły,

Tu masz z zamorza trefne szydły-

[widły,³

Maszty wyniosłe z bocianimi gniazdy

Pod same gwiazdy.

Tu w stradyjektach⁴ masz śmiałe-

bosmany,

Masz z dalekich stron kupce i ziemiany;

Przedawaj, kupuj, handluj, bij dłońią

w dłoń,

Zysk sobie zgoń.

Na wodach Motławy statki wiślane mieszały się z okrętami, ze statkami morskimi, na nabrzeżach zaś przy szpichlerzach, na targowiskach i ulicach majtkowie mieszały się z flisami gdańscy i zamorscy kupcy — z naszymi szypkami i właścicielami przywiezionych Wisłą towarów.

Właścicielem tych towarów był albo szlachcic albo mieszczanin albo — w nielicznych wypadkach — chłop. Co prawda w wyniku m. in. uzyskania przez szlachtę całkowitego zwolnienia od cla a obciążenia clami i innymi opłatami handlu mieszczańskiego samodzielną kupiecką żegluga rzeczna zanikła niemal całkowicie to jednak towar mieszczańskich kupców był, przynajmniej w pewnych okresach, rzekami przewożony. Mieszczańscy kupcy przewozili je mianowicie na statkach szlachty płacąc jej za ten przewóz *frokt* (*frocht*), czyli *fracht*. Korzystający z tego transportu kupcy — *froktarze* (*frochtarze*) — mieli zwyczajowopravny obowiązek powrócić do pała na tych samych statkach, na których spłynęli w dół Wisły (właścicielowi statku zależało bowiem także na *froctie* górnym, płaconym za towary górne — przewożone w górę rzeki).

Szlachta polska zakupywała w Gdańsku właściwie wszystko. Nawet nie warto się tu kusić o wymienienie, choćby przykładowo tych towarów: było ich setki rodzajów... Także asortyment towarów gdańskich w handlu *froktarskim* był bogaty.

Pobyty statków i *froktarzy* w Gdańsku trwał zazwyczaj do 2 tygodni. W tym czasie szypcy sprzedawali towary dworskie i kupował dla pana nowe; podobnie czynili *froktarze* ze swymi towarami. Po załadowaniu towarów na szkuty wyprawa ruszała w górę Wisły, do domu. Załogi tych statków, które nie wracały (na przykład *komiegi*), odbywały podróż do domów lądem, pieszo.

W górę rzeki

Żegluga powrotna była bardzo uciążliwa. Gdy brak było pomyślnego wiatru musiano statki popędzać wiosłami, w wypadku przeciwnego wiatru natomiast używano tylko wiosel, żagle szkatne bowiem nie nadawały się do żeglowania pod wiatr. Na płytkich miejscach i wiosła były bezużyteczne: musiano wtedy przy pomocy znanych nam już *lasek* szybować. Nieraz, szczególnie przez płytkie miejsca, a także przez odcinki niebezpieczne, przechodzono w ten sposób, że flisacy ciągnęli brzegiem rzeki (nadbrzeżną drogę, ścieżkę flisowską, flisowie zwali *trelem* lub *trylem*) holując szkuty na linach. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że statki wracały obciążone kupionymi w Gdańsku towarami, możemy sobie wyobrazić jak ciężka była taka praca. Żegluga powrotna trwała więc długo, na przykład do Sieniawy nad Sanem (nieco w górę od ujścia Wisłoku) — 6 lub 7 tygodni. Cała wyprawa z Sieniawy (do Gdańska, postój w Gdańsku i z powrotem) trwała średnio 10—12 tygodni.

W wieku XIX następuje zasadnicza zmiana rodzaju i napędu statków, a tym samym i sztuki spławu — żeglowania: z Wisły znikają szkuty, *komiegi*, *dubasy*, *byki*, ich miejsce zajmują *barki*, *berlinki*, *krypy* — statki o większej ładowności, bezpieczniejsze dla ludzi i ładunku, łatwe w obsłudze i wymagające o wiele mniej zalogi. Siłę wiatru i mięśni flisaków zastępuje maszyna parowa specjalnego statku — *holownika*, który różne barki i krypy ciągnie z portu do portu.

Sama Wisła niewiele się jednak zmieniła: tak jak dawniej szeroko rozlana, płytka, dzika, pozostała niełatwa dla żeglugi. Taką była w okresie zaborów, taką była w międzywojennym dwudziestolecu i taką jest nadal — kapitalne prace nad jej ujarzmieniem są dopiero zaplanowane.

¹ Wanczos — klepki dębowe.

² Machlerze — maklerzy, pośrednicy.

³ „Trefne szydły-widły” — tu: cudackie rozmaitości.

⁴ Stradyjektki (powinno być stradyjektki) — krótka odzież, kurtki.

ZYGMUNT BROCKI

Spichlerz w Sandomierzu wg Andriollego



• DROBIAZGI • DROBIAZGI • DROBIAZGI • DROBIAZGI •

Do najciekawszych zabytków przyrodniczych Pomorza Zachodniego należy ciągnąca się na długość 67 km Knieja Bukowa. W ciągu ostatnich kilku lat utworzono tu 7 różnych rezerwatów roślinnych. Prawdziwą ozdobą Kniei są stare, liczące ok. 800 lat, dęby w Kłeszkowie. Jak głosi legenda pod dębami tymi, po zwycięskiej bitwie w okolicy Zdurowa wypoczywał wraz ze swą żoną Krzywousty. Stąd też drzewa otrzymały nazwę „Dębów Bolesława Krzywoustego”. Ciekawym również obiektem jest, istniejący tu od około 80 lat ogród dendrologiczny w Glinnej, gdzie zgromadzono kilkadziesiąt różnych gatunków drzew i krzewów egzotycznych.

W maju zostało otwarte w Obłęgorku Muzeum Sienkiewiczowskie. Muzeum mieści się w pałacyku który wraz z niewielką posiadłością 60 lat temu otrzymał autor Trylogii od społeczeństwa.

Z końcem przyszłego roku będzie można oglądać *Panoramę Racławicką* w specjalnie na ten cel stawianym pawilonie w pobliżu Muzeum Śląskiego we Wrocławiu.

W tym roku zalesiony zostanie olbrzymi obszar piaszczystych wydm i nieużytków rolnych — znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie Warszawy. W przyszłości miasto ma otoczyć zielony pierścień leśny utworzony z sosen, modrzewi, jarzębin i różnych rodzajów krzewów, szeroki na 50 km.



W Prudniku projektuje się budowę pomnika Tadeusza Kościuszki na terenie parku miejskiego. W Raciborzu na stanowisko pomnik Stanisława Moniuszki, a w Oleśnie Józefa Lompy.



W tegorocznym planie rozbudowy Zakopanego rozpoczęte zostaną prace nad zorganizowaniem jednego z największych w kraju muzeów skansenowskich. Będzie to kompleks 12 obiektów obrazujących budownictwo mieszkaniowe i gospodarcze od najdawniejszych lat na Podhalu. W przyszłości przewiduje się również urządzenie skansenu pałastarskiego w rejonie Hałki Gąsienicowej wzdłuż letnich szlaków turystycznych.

W Zakopanem Muzeum Tatrzańskie urządziło wystawę według scenariusza p. Anny Kowalskiej-Lewickiej p. t. „Biały haft podhalański w historycznym rozwoju”. Wystawa trwała 86 dni. Na ekspozycję złożony był okaz muzealny, rysunki i fotografie.



W Warszawie przy ul. Długiej wśród rozbieranych murów znaleziono fragmenty ściany gotyckiej, należącej do kamieniczki z XVI wieku. Dotychczas przypuszczano, że poza dawnymi murami miejskimi istniała w średniowieczu już tylko zabudowa drewniana.

W Portugalii i na Sycylii zaobserwowano szpaki zaobraczkowane w Puszczy Białowieskiej.



W trakcie prac przy zabezpieczeniu walczącej się kamienicy na rynku Staro Miasta w Lublinie odkryto bogato zdobione drewniane stropy pochodzące z przełomu XV i XVI wieku. Ponadto w tej samej kamienicy natrafiono w pierwszej kondygnacji na renesansowe kolumny między oknami, które w XVIII wieku zostały zamurowane.

KRAJOZNAWSTWO
ZA GRANICĄ



MALO
WIDLA
DREW
NIA
NYCH
KOS
CIO
LOW
NOR
WES
KICH



Powyżej: diabeł porywa duszę gubernatora Albricio. Fragment polichromii w kościele w Torpo (Hallingdal), połowa XIII w. Obok: „Ucieczka do Egiptu”. Fragment polichromii z kościoła w Aal, koniec XIII w. Po lewej: kościół w Borgund z ok. 1150 r. Po lewej u dołu: „Ukrzyżowanie”. Kościół w Aal. U dołu: Cesarz Hetakliusz przenoszący Drzewo Krzyża św. do Jerozolimy. Fragment ołtarza z końca wieku XIII. Kościół w Nedstryn.



Niemal każdy mieszkaniec Polski wie, że jego kraj posiada liczne piękne drewniane kościołki. Nieleżni natomiast wiedzą, że i Norwegia szczyci się drewnianą architekturą sakralną. Ale do całkowi-tych już wyjątków należą ci, którzy zdają sobie sprawę ze skarbów malarstwa zachowanych w owych norwe-skich świątyniach.

Do takich wyjątków należą — trzeba wyznać: cał-kiem przypadkowo. Przypadkiem wszedłem do księ-garni, przypadkiem wybrałem spośród kilku ten właśnie tom. Mało powiedzieć tom — tomisko wielkiego formatu z przepięknymi barwnymi reprodukcjami. Wydawnictwo zaiste międzynarodowe i to nie tylko dlatego, że ukazuje się pod auspicjami UNESCO, lecz i ze względu na to, że — nakładcą jest Nowojorska Graphic Society, że drukowane jest we Włoszech (z włoskim tekstem), że dotyczy Norwegii (inne książki tego cyklu dotyczą: Jugosławii, Hiszpanii, Meksyku, Iranu, Australii itd.) i wreszcie, że wstęp napisał nasz rodak zamieszkujący stale we Francji — historyk sztuki Ludwik Grodecki.

A teraz najkrócej: co to są „Stavkirken”? Kościoły drewniane — no tak — lecz zupełnie różne od naszych. Różnice dotyczą konstrukcji, dekoracji i... wieku. Są to więc budowle w których szkielet konstrukcyjny opiera się przede wszystkim na elementach pionowych (konstrukcja słupowa, względnie jak ją niektórzy określają „masztowa”), podczas gdy w naszych Łopusznach czy Grywałdach dominującą rolę gra — jak wiadomo — poziomy układ belek zrębu. To decyduje o kształcie norweskich świątyń, o ich strzelistości oraz o dążeniu do układów centralnych. W zewnętrznym wyglądzie „Stavkirken” uderzają „pagodowate” dachy zdobione głowami smoków. Nic dziwnego: budowali je Wikingowie i owe smocze łby zdobiły zarówno kościoły jak i dzioby okrętów owego wojowniczego morskogo ludu. Ktoś nawet porównywał norweskie świątynie z łodziami odwróconymi dnem do góry.

Dalsza różnica — to wiek. Nasze Dębna i Haczowy młodsze są od „Stavkirken” — bagatelka — o 200, 300 a nawet 400 lat. O tak sędziwym wieku decyduje materiał: specjalny gatunek sosny, niezwykle twardej, niezwykle żywicznej, dosłownie kamieniejącej z biegiem czasu. Budulec ten przetrwać może nie setki, ale ty-siące lat, co więcej — w tym budulcu rzeźbione wspa-niałe, bujne „plecionkowe” dekoracje to już napewno nie snycerka — lecz niemal kamieniarka, wiążąca nie-rozdzielnie dekorację plastyczną z architekturą.

Ciekawostką będzie tu fakt, że posiadamy na terenie naszego kraju jeden taki norweski kościółek — Wang w Blerutkowicach koło Karpacza. Ale o tym może innym razem...

Wspaniały album który mam przed sobą zaznajamia ze skarbami malarstwa pochodzącymi z owych kościo-łów. Już sam wiek tych malowideł wprawia w zdzi-wienie: XIII i początek XIV w. Zachwycające są szczególnie wielkie cykle malowideł ściennych w ko-ściołach w Torpo i Aal (Hallingdal). Wesoła gama barw naiwna śmiałość narracji i zamiłowanie do dekoracyj-ności: krzyżyki, gwiazdeczki, zygzaki — zajmują tu każdą wolną przestrzeń. W tym „lęku próżni” prze-jawia się tradycja dekoracji plecionkowej tak chark-terystycznej dla wczesnej sztuki skandynawskiej.

Wielkie zamiłowanie do opowieści przejawiające się w tych malowidłach, w których dominują tony czer-wone i niebieskie, tłumaczy się łatwo — toć powstały w kraju baśni i legend — sag i skaldów. Nieznani artyści — podobnie jak średniowieczni pieśniarze — opowiadają nam długie rycerskie historie w których istnieje tylko zło i dobro, a dobro zwycięża zawsze.

...oto jeden ukoronowany monarcha sięcze potężnym mieczem gromadę wrogów, a z drugiego zarabianego już monarchy bardzo niesympatyczny diabeł wyciąga duszę bladą i sflaczałą...

...oto inny monarcha (cesarz Herakliusz) wjeżdża do obronnego grodu (Jerozolima) wioząc drzewo Krzy-ża św...

A równocześnie przebija z tych scen naiwny liryzm: Adam i Ewa speszeni swą nagością wymieniają dzie-cinne dary: owoce czy listki — zaczątek miłosnych wątków literackich. Tu znów św. Rodzina w ucieczce do Egiptu przejeżdża pod śmieszny, niebieskim drzewkiem które posiada tylko pięć gałęzi zakończo-nych olbrzymimi pączkami. Owdzie zwiastowanie pa-sterzom, pocziwym dryblasom a całe to niezemskie zjawisko nie przeszkadza wcale brodatym capom wspinać się na drzewa w poszukiwaniu smacznějších kasków.

Jest znaczna różnica w układzie i kolorystyce malo-wideł ściennych oraz obrazów ołtarzowych — te ostat-nie są ciemniejsze, bardziej jak gdyby przygaszone (pojawiają się tu złote tła). Mniejsze tu również możli-wości dla snucia długich opowieści.

No cóż — myśli ciężek zamykając księgę — u nas nad małym fragmentem ołtarzowym z Dębna z końca XIII w. tyle wydziwiania, a u nich... Można co prawda powiedzieć: u nas też było, ale się spaliło — tylko czy jest to istotnie pocieszeniem?

Szczęśny Frąckowiak

W tym roku mija 70 lat od chwili założenia amerykańskiego towarzystwa geograficznego, *National Geographic Society*. Powstało ono bowiem w 1888 r. i w tymże roku ukazał się pierwszy numer miesięcznika *The National Geographic Magazine*, będącego organem To-warzystwa.

Aby w pełni zdać sobie sprawę z charakte-ru tego periodyku musimy parę słów po-święcić instytucji, która go wydaje. *National Geographic Society* szczyci się tym, że w okre-sie swego istnienia zorganizowało przeszło 150 wielkich wypraw badawczych na wszystkie kontynenty naszego globu. I tak np. ekspedy-cje glaciologiczne NGS badały lodowce Alaski. Ekspedycje archeologiczno-etnograficzne tegoż Towarzystwa odkrywały w górach Peru i dżunglach Srodkowej Ameryki szczytki wy-gasłych kultur indiańskich. NGS miało swój udział w finansowaniu wyprawy admirała Peary, której efektem było odkrycie bieguna północnego, a w szereg lat później ono rów-nież udzielił poparcia antarktycznej wyprawie Byrda. Z ramienia Towarzystwa organizowa-no wyprawy przyrodnicze w głąb wenezuel-skiego interioru. Archeolodzy i etnologzy ekspedycji NGS docierali do najdalszych za-kątków Afryki i Azji Centralnej. Z instytucją tą współpracował znany badacz fauny mor-skiej William Beebe i wielu, wielu innych uczonych, podróżników i wojskowych, któ-rych relacje znajdujemy na łamach *The Na-tional Geographic Magazine*.

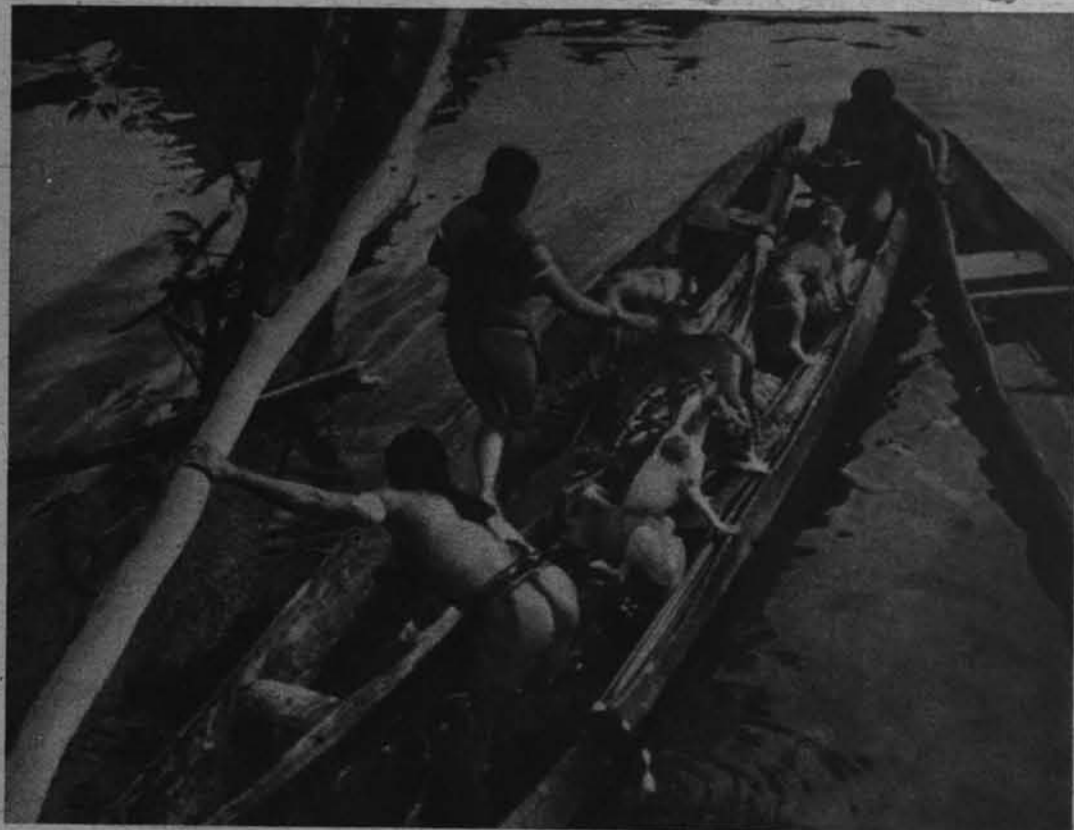
Nie jeden z czytelników zapewne natknął się w antykwariatach na stare egzemplarze tego magazynu. Są to zeszyty przypominające rozmiarami grubą broszurę, o okładce żółto-białej, tradycyjnej i staroświeckiej, z wypis-anym na wierzchu spisem treści numeru. Cena numeru wynosi w Stanach 1 dolara. Redaktorem naczelnym pisma jest prezes Towarzystwa, Melville Bell Grosvenor. Sie-dzibą Towarzystwa a zarazem i redakcji jest Waszyngton.

Każdy numer miesięcznika *The National Geographic Magazine* zawiera stokilkadziesiąt stron druku, barwnych plansz i ilustracji, przy czym z reguły kilka pierwszych i ostat-nich stron zajmują reklamy. Mimo pokaż-nych rozmiarów każdy numer składa się za-ledwie z kilku artykułów. Chodzi bowiem o dość obszerne, wyczerpujące przedstawienie tematu i wyposażenie go w odpowiednio boga-tą szatę ilustracyjną. Nie znaczy to zresztą wcale, by magazyn specjalizował się w dru-kowaniu monografii. Zamieścił on wprawdzie w szeregu numerów cały cykl artykułów typu monograficznego na temat kultur indiańskich poszczególnych regionów USA, ale jego specjalnością jest w zasadzie pogłębiony opis podróźniczy. Zarówno zresztą w jednym jak i w drugim typie artykułów spotykamy się — obok precyzyjnego lecz prostego stylu — z dążnością do atrakcyjnego przedstawienia problemu. I przy tym wszystkim — popraw-



ność merytoryczna. Widać że „naukowość” artykułu niekoniecznie kojarzyć się musi z nudnym i niedośćnie zawilum sposobem wystawiania się, a „atrakcyjne” ujęcie — z chaosem i pomieszaniem pojęć. Ale też magazyn starannie dobiera autorów. Są to specjaliści z poszczególnych dziedzin wiedzy, a także ludzie znający dane zagadnienia z autopsji. Bardzo zresztą dobrym zwyczajem redakcji jest zaopatrywanie niektórych arty-kulów w krótką notatkę informacyjną na tem-at samego autora.

Tematyka magazynu jest bardzo bogata. Obok nauk przyrodniczych mamy tu artykuły i reportaże podróźnicze z dziedziny etnografii, archeologii, a czasami nawet historii i muzealnictwa. Magazyn zajmuje się przede wszyst-kim problematyką zagraniczną, ale bynaj-mniej nie wyłącznie. Sporo miejsca poświęca on samym Stanom Zjednoczonym. W pierw-szym rzędzie będą to artykuły na temat badań naukowych prowadzonych w rozmaitych częściach tego rozległego kraju. Ten typ arty-kulu reprezentowały wspomniane wyżej opisy kultur indiańskich; do tej również kategorii zaliczyłbym np. pięknie ilustrowaną relację z wyprawy geologicznej badającej profile jednego z kanionów; tu także należałby arty-kul, zamieszczony w jednym z tegorocznych numerów, a traktujący o wykopaliskach ar-cheologicznych w jaskiniach Alabamy. Inny typ, który nazwałbym typem pogłębionego artykułu krajoznawczego, reprezentują opisy życia jakiegoś regionu czy miejscowości wraz z podaniem ich dziejów, związanych z nimi



DZIKIE ZWIERZĘTA



Przeszło dwa lata zbierano materiały fotograficzne do albumowej pracy o najpospolitszych dzikich zwierzętach żyjących w Ameryce Północnej. Praca ukazała się w ubiegłym roku. Zawiera ona serie zdjęć z życia 16 rozmaitych przedstawicieli amerykańskiej fauny. Album nosi tytuł *Common Wild Animals and Their Young*. Autorami jego są William i Rita Vandivert. (D)

anegdota, a wreszcie — uwzględnieniem sytuacji dzisiejszej. Tu możnaby dla przykładu wymienić artykuł o jednej z najstarszych akademii wojskowych USA i rekonstrukcji obozu wojsk Jerzego Waszyngtona pod Valley Forge; obszerny artykuł o stanie Georgia, osobliwościach przyrodniczych Florydy, lub krainie lodowców z pogranicza kanadyjskiego. Tu również nie wahałbym się zaliczyć artykułu o współczesnym malarstwie indiańskim (o czym pisaliśmy w ZIEMI nr 12/57). Uwzględnianie aktualnej sytuacji danego zjawiska czy problemu krajoznawczego to bardzo cenna cecha artykułów magazynu. Cecha, której często brak w naszych opisach krajoznawczych, gdzie autor przestaje się interesować tematem niekiedy już w ... XIX wieku.

Na koniec jeszcze nieco o szacie zewnętrznej pisma. Gdy porównamy numery z lat dwudziestych z numerami z ostatnich lat, uderza nas brak zasadniczych zmian w układzie graficznym. W ciągu tych kilku dziesiątków lat najwyraźniej zmieniły się reklamy, no i technika kolorowej fotografii. W zasadzie jednak układ pozostał ten sam: spokojny, przejrzysty i prosty. Kredowy papier i znakomita technika druku pozwalają na właściwe wyeksponowanie zdjęć, ostatnio zresztą już w większości kolorowych. W zdjęciach przejawia się charakterystyczna dla tego magazynu tendencja do przedstawiania krajobrazów zawsze z jakimś sztafżem. Formaty zdjęć bywają duże. Często jedna fotografia zajmuje i 2 strony. Zdjęcia w pełni mają uzupełniać artykuł, a podpisy pod nimi — stosunkowo obszerne — podają dodatkowe informacje, nie uwzględnione w zasadniczym tekście. Mapki czarnobiałe, wykonane są przejrzysto i estetycznie.

(DZ)

COMING EVENTS IN BRITAIN

England is Rich — Anglia jest bogata, to tytuł nowej publikacji krajoznawczej wydanej w roku 1957 przez londyńską firmę George G. Harrap & Co. Napisał ją Harry Hopkins. Materiały do niej zebrał Hopkins podróżując po uprzemysłowionych okolicach Anglii, które uchodzą powszechnie za nie warte zwiedzania, nieciekawie. Autor odwiedził warsztaty tradycyjnego rzemiosła takich miast jak Birmingham i Liverpool. Dotarł do ośrodków wyrobu najslawniejszej w kraju porcelany. Zwiedzał warsztaty, w których zbudowano pierwszą lokomotywę — słynną „Rakieta” Stephensona. Przyjrzał się pracy wiejskich wytwórców mebli i pracy miejskich ślusarzy. Toteż właśnie owe regionalne tradycje rzemieślnicze i przemysłowe są tematem krajoznawczego szkicu Hopkinsa.

AMATITLAN

Gwatemalskie jezioro Amatitlán było latem ubiegłego roku terenem współpracy badawczej zespołu amerykańskich archeologów oraz miejscowej grupy pletwonurków. Archeolodzy pod kierownictwem dyrektora muzeum uniwersyteckiego z Oklahomy, dr Stefana F. de Borhegyi badali ślady osad Majów, rozsiane wzdłuż wybrzeży jeziora, nurkowie natomiast zajęli się eksploracją dna. Najstarsze ślady osadnictwa na brzegach sięgają 1000 lat p.n.e., najmłodsze zaś pochodzą

z czasów hiszpańskiego podboju. Z dna jeziora Amatitlán wydobyto liczne naczynia, posążki kultowe i urny co świadczyłyby o celowym wrzucaniu tych przedmiotów do wody na ofiarę bóstwom. Na ślad odkryć naprowadzili archeologów gwatemalscy amatorzy nurkowania. Oni to bowiem już od roku 1955 przy okazji swych podwodnych wypraw myśliwskich urządzanych w głębinie jeziora, znajdowali w nich przedmioty zatopione przez dawne tubylcze ludy. (I)

AMATITLAN



JOZEF STAŚKO
KRAJOZNAWSTWO
I TURYSTYKA
SZKOLNA
NA TERENIE
WOJEWÓDZTWA
KRAKOWSKIEGO

Szkolny Wojewódzki Ośrodek Krajoznawczo-Turystyczny w Krakowie działalność swoją opiera na organizowaniu ruchu krajoznawczego i wycieczek w szkołach wszystkich typów, a więc organizuje szkolne kółka krajoznawczo-turystyczne i instruuje te kółka. Prowadzi ponadto własne wycieczki i obozy wędrowne tak dla nauczycielstwa, jak i dla młodzieży szkolnej.

Ośrodek prowadzi oprócz tego wykłady i kursy dla nauczycieli interesujących się krajoznawstwem i turystyką i dla kierowników wędrownych obozów. Specjalne kursy dotyczą techniki zwiedzania dużych miast. Poza tym Ośrodek pomaga różnym instytucjom naukowym w zbieraniu materiałów w terenie przy pomocy kół krajoznawczych.

Zakres zatem pracy Ośrodka jest bardzo różnorodny, ale na czoło wysuwa się zagadnienie własnej akcji letniej, mającej na celu wdrażanie w krajoznawstwo młodzieży szkolnej. Co roku w lipcu organizuje się osiem obozów wędrownych dla młodzieży wytypowanej przez opiekunów kół i dyrekcji szkół. Każdy uczestnik takiego obozu pochodzi z innej szkoły. W ten sposób powstaje aktywny krajoznawczy dla wielu szkół równocześnie. Prócz poznawania danego regionu, przez który przechodzi szlak obozu w ciągu 14 dni, program obejmuje szereg pogadań. Treścią pogadań są wybrane zagadnienia z metodyki prowadzenia pracy krajoznawczej w szkolnych kółkach.

W roku 1957 jeden z 8 obozów Ośrodka przebywał przez 14 dni na Podhalu, gdzie zebrał materiały z dziedziny sztuki ludowej i folkloru Góralczyzny. Inny oboz wędrował wzdłuż Pilicy od źródeł aż po Inowłódz.

W roku bieżącym Ośrodek opracował nowe szlaki obozów, po Ziemi Sandomierskiej, Spiszu, okolicach Biecza i Przemysła. Obecnie zbiera się materiały bibliograficzne, które posłużą w opracowaniu dalszych tras krajoznawczych obozów.

Należy tu dodać, że wszystkie obozy są opłacane z własnego budżetu Ośrodka (przejazdy, wyżywienie, zakwaterowanie), zatwierdzonego przez władze szkolne i z kredytów przydzielonych przez Ministerstwo Oświaty.

O ŚRODKI

Od stycznia 1958 Kraków posiada dwa Szkolne Ośrodki Krajoznawcze. Pierwszym, istniejącym już dawniej, przy Wydz. Oświaty Prezydium WRN, kieruje dr Józef Staśko. Ośrodek ten opiekuje się szkolnym ruchem krajoznawczym na terenie całego województwa krakowskiego. Natomiast zadaniem drugiego nowopowstałego przy Wydz. Oświaty Prezydium RN w m. Krakowie Ośrodek, jest zajmowanie się szkolnymi kółkami krajoznawczymi na obszarze miasta. Nowy ten Ośrodek, kierowany przez mgr Jadwigę Pykosz, opracowuje obecnie plany działalności letnich obozów krajoznawczych i ustala formy współpracy młodzieży zrzeszonej w nim z zainteresowanymi instytucjami naukowymi. W najbliższej przyszłości kierownictwo ośrodka ma zamiar wydać materiały instruktażowe dla opiekunów szkolnych kół krajoznawczych. Pomyślna realizacja tych planów w znacznym stopniu ułatwiłoby zadania nauczycielstwa w czasie letniej akcji wycieczkowo-obozowej. W kwietniu, dokonano wyboru Rady Metodycznej Ośrodka. (L)

KOMISJA

Przy zielonogórskim Oddziale PTTK powstała z początkiem bieżącego roku Komisja Krajoznawcza. Mamy nadzieję iż nowa Komisja przyczyni się do rozwoju ruchu krajoznawczego na tym terenie. W ubiegłych bowiem latach ten region był pod względem krajoznawczym niesłychanie słabo spopularyzowany w innych dzielnicach Polski, a o rozwoju rodzimego krajoznawstwa, w praktyce poza b. licznymi wyjątkami — nie było wogóle.

Z końcem kwietnia odbył się urządzony co roku w Krakowie przez Wydz. Oświaty WRN, kurs dla opiekunów szkolnych kół krajoznawczo-turystycznych i kierowników wędrownych obozów krajoznawczych. Wzięli w nim udział nauczyciele z Krakowskiego i Kieleckiego. W tym roku z inicjatywy Szkolnego Wojewódzkiego Ośrodka Krajoznawczo-Turystycznego kurs zakończył się trzema wycieczkami, połączonymi z krótkimi prelekcjami w terenie. Program wycieczek uwzględniał zagadnienia z dziedziny morfologii, geologii, archeologii, historii, ochrony zabytków, etnografii i gospodarki. Rzecz zrozumiała że tak obszerna problematyka trudno było przedstawić nawet w najbardziej ogólnym zarysie

„Podłoga w kuchni była z czerwonych cegieł dobrze już podniszczonych, a na wielkim kominku — umieszczonym między dwoma rozkosznymi wnkami, dokąd żaden przeciąg nie dochodził — paliły się kłody drzewa. Dwa fotele o wysokim oparciu stały naprzeciwko siebie po obu stronach kominka, stwarzając wygodne możliwości dla osób usposobionych towarzysko. Na środku izby znajdował się długi stół z prostych desek na krzyżakach, a po obu jego stronach stały ławki... Dębowe stolki wyświecone od długiego użycia zamieniały się z sobą wesołe spojrzania; talerze na kredensach szczyrzyły zęby do garnków na półkach, a radosne światło ognia pelgało dokazując że wszystkimi bez wyjątku”.

Tak wyglądało wnętrze domu Borsuka, jednego z bohaterów powieści angielskiego pisarza dla młodzieży, Kennetha Grahama zatytułowanej *The Wind in the Willows*. Książka ta ukazała się po raz pierwszy w roku 1908, a w 24 lata później, w momencie śmierci jej autora doczeka się ona w samej tylko Wielkiej Brytanii 32 wydań. W Polsce przetłumaczono ją już przed wojną, opatrując tytułem „O czym szumią wierzby”. Rok temu na półkach księgarskich ukazało się jej drugie u nas powojenne wydanie, nakładem Naszej Księgarni. Jest to naprawdę niezwykła książka. Jedną z takich, które podobnie jak *Alicja w Krainie Czarów*, *Mały Książę*, *Agnieszka* czy gwałtownie modny ostatnio *Kubuś Puchatek*, mimo pozornych cech opowieści dla dzieci, znajdują i pośród dorosłych wielu gorących zwolenników. A jednak nie to przecież jest powodem dla którego chcę nieco szerzej omówić tę opowieść na łamach krajoznawczego miesięcznika.

The Wind in the Willows to także książka na którą winien zwrócić baczną uwagę krajoznawca. I to właśnie dorosły krajoznawca. Taki, który ma ambicje propagowania idei krajoznawczych wśród młodzieży. Jest w tej książce coś z zaczerpniętej atmosfery dickensowskiej *Opowieści Wigilijnej*, coś z opisów wnętrza jutlandzkich kuchni u Andersena i coś z baśniowego świata polskiej wioski w której krasnoludki opiekują się sierotką Marysią. Kenneth Grahame stwarza poetycką wizję życia pewnego regionu.

Treścią książki są przygody grupy przyjaciół, którzy z sobą zwierząt: Kreta, Szczura Wodnego, Borsuka i młodego, awanturczego Ropucha. Kret, domator mieszka w zacisznej norze, w której „na murach wisiały druciane koszyki z paprociami, a między nimi stały na półkach gipsowe odlewy; był tam Samuel w wieku dziecięcym i królowa Wiktoria, i Garibaldi i różni inni bohaterowie... W środku podwórza znajdował się mały, okrągły basen, obramowany muszlami, a w nim pływały złote rybki. Na środku basenu wznosił się fantazyjny słupek, również ozdobiony muszlami i zakończony dużą kulą ze srebrnego szkła, w której wszystko odbijało się do góry nogami”. Kret starannie pielęgnuje swą podziemną posiadłość, dba o zaopatrzenie spiżarni i piwnicy. Co roku w wieczór wigilijny gości u siebie grupę małych koleśników — Myszy Polnych z pobliskiej wioski. Patronuje także ich amatorskiemu teatrykowi. Szczur Wodny natomiast — to sportsmen. Jego skromna lecz wygodna willa leży tuż nad Rzeką, którą jest w rzeczywistości zamką, przecinającą łagodne zielone okolice południowej Anglii. Szczur uprawia wioślarsstwo, pływa, chodzi

podczas trzech krótkich wycieczek. Pewne zaś zagadnienia (ochrona przyrody i krajoznawczo-turystyczne) zostały z konieczności pominięte na wycieczkach całkowicie. Toteż należy mieć nadzieję, że w przyszłości organizatorzy takich kursów będą mogli poświęcić nieco więcej czasu na wycieczki poglądowe (z).

M A P Y

Poznański Okręg PTTK przystąpił w tym roku do wydawania krajoznawczo-turystycznych map poszczególnych powiatów woj. poznańskiego. Podkładowe mapy powiatów w skali 1:100000, powielone na światłokopii, wysyła się do poszczególnych Oddziałów. Tam z kolei nanosi na mapę obiekty według jednolitej ustalonej dla całego województwa legendy. Znajdują się w niej m. i. takie pozycje jak



na dalekie spacery. Ma usposobienie nieco romantyczne. Pisuje wiersze. Na łódki stroi się w lekki flanelowy garnitur. Ruszając do Lasu przywdziewa kraciate tweedy a la Sherlock Holmes. W lesie, w odległym miejscu znajduje się nora Borsuka. Wnętrze jej poznałszy na początku. Sądząc z dalszych opisów, domostwo Borsuka zbudowane jest w zaspanych ruinach jakiejś rzymskiej willi czy obozu, tak charakterystycznych dla tej części Anglii. Borsuk, choć mruk i zręda cieszy się poważaniem całej okolicy z powodu swej mądrości i odwagi.

Ale najsilniejszą z całej czwórki indywidualnością jest Ropuch. Odziedziczył po przodkach (!) „piękny, poważny, stylowy dwór z czerwonej cegły, poczerwiał od starości”. Słowem taki dwór, jakie oglądamy na fotografiach w angielskich czasopiśmie. A wraz z dworem odziedziczył znaczną fortunę. Niestety, Ropuch, młodzieniec lekkomyślny i zarozumiały, używa jej niewłaściwie. Opanowany manią automobilizmu (początek XX wieku!), staje się postrachem szos, porywa samochody i wreszcie wędruje do więzienia. Ucieka stamtąd w przebraniu... starej praczki. Nierozpoznany podróżuje najpierw pociągiem, potem barką ciągniętą przez konia na śródlądowym kanale (znów charakterystyczny motyw z życia tego regionu), handluje z wędrownym Cyganem, a wreszcie po wielu przygodach dociera nad Rzekę. Ale tymczasem Ropuszy Dwór zajęła zgraja leśnych opryszków — Kun, Łasic i Tchórzy. Do każdego intruza palą z karabinów. Nie puszczają nikogo. Dopiero Kret, Szczur i Borsuk dopomogą Ropuchowi w odzyskaniu posiadłości.

Opowieść *The Wind in the Willows* powstała w dość niezwykły sposób. Oto pewnego razu sześćioletni synek Grahama zachorował i przez szereg wieczorów ojciec zabawiał leżące w łóżku dziecko wymyślanymi na poczekaniu przygodami zwierzątek. A kiedy mały Alstair musiał wyjechać na kilkumiesięczną kurację, ojciec opisywał mu dalszy ciąg historii w kolejnych listach. Dopiero po kilku latach K. Grahame za namową rodziny zrekonstruował na podstawie tych listów całą bajkę.

Roger Lancelyn Green pisze w jednym z numerów „Everybody's” że zwierzęta Kennetha Grahama żyją w świecie, który czasem jest prosto hrabstwem Berkshire a czasami krainą baśni. Rzeczywiście: nieprawdopodobne wydarzenia „O czym szumią wierzby” posiadają oprawę realiów Anglii z początków XX wieku. A i sami bohaterowie reprezentują typy mieszkańców angielskiej prowincji, co ciekawsz. żyją w „ludzkiem” otoczeniu i — mimo że zwierzęta — są przez człowieka traktowani na równi. Już jednak po przeczytaniu kilku stronik przestaje nas to dziwić i śledząc perype-

grodziska, ruiny, muzea, pałace, zabytkowe zespoły architektoniczne, ośrodki twórczości ludowej, rezerwy roślinne, ale także i obozowiska domków kampingowych, stacje wodne itp. Po namiesieniu tych szczegółów na mapę zostaje ona przesłana z powrotem Okręgowi, który następnie ją powiela. Inicjatywa Okręgu Poznańskiego zasługuje nie tylko na uznanie ale i na naśladowanie w innych województwach. Dzięki niej bowiem spora ilość zabytkowych obiektów w terenie można by zainwentaryzować, a niekiedy nawet ochronić przed zniszczeniem. Ponadto tego rodzaju mapy dostarczają cennego materiału informacyjnego o danym regionie ruchowi turystycznemu a wreszcie powodują aktywizację krajoznawczej pracy Oddziałów. (I)

RECENZJE

O CZYM
SZUMIĄ
WIERZBY

tie zwierzątek wędrujemy wybrzeżem Tamizy.

Wbrew istniejącym tu i ówdzie poglądom pisanie dla dzieci nie jest bynajmniej rzeczą łatwą ani prostą. Autor musi wykazać niemało taktu i ostrożności, by nie zniechęcić młodego czytelnika, by nie popaść w styl nudnej dydaktycznej piły. W jeszcze większym stopniu dotyczy to wszelkiej krajoznawczej literatury dla młodzieży. W przeciwnym bowiem razie krajoznawstwo stanie się jednym z przedmiotów szkolnych o których zapomnia się później tym szybciej, że nie posiada ono tak namacalnych wartości użytecznych jak np. znajomość arytmetyki czy ortografii. O tym czy pisarzowi uda się rozwiązać te skomplikowane problemy zdecydować oczywiście jednak przede wszystkim talent. Dowodzą tego książki, które wciąż są popularne wśród małych czytelników, mimo iż napisano je już wiele dziesiątków lat temu a świat w którym powstały należy do historii. Dowodzi tego i opowieść *The Wind in the Willows*.

Pierwsze wydanie angielskie *The Wind in the Willows* opatrzono ilustracjami Ernesta H. Sheparda, z których dwie reprodukuje obok. (LD)



W NASTĘPNYM
NUMERZE



FOT. M. KORNECKI

O TYM JAK
SZUKAĆ
METALOWYCH
OKUC

O AQUALUNGACH
KTÓRE OTWORZYŁY
LUDZIOM KRAINĘ WÓD

FOT. W. ZUBRZYCKI



O OSOBLIWOŚCIACH
DZISIEJSZEGO
IZRAELA

